WARSZAWA
ROK III

PAŹDZIERNIK 1945 R.

Nr 2

warszawski
miesięcznik
społeczno
literacki

LEWY TOR

Cena Numeru 12 zł

TREŚĆ NUMERU:

WACŁAW BIELECKI

Stara i nowa demokracja



II.

Przekształcenia, jakie dokonywują się w naszych oczach w nowej, powojennej Europie, są zarówno głębokie, jak i powszechne.

Najgłębsze, najradykalniejsze i najszybsze są niewątpliwie w krajach, które przeszły okupację hitlerowską, jak Polska, Jugosławia czy Francja. Lecz proces tych przemian nie ominął żadnego państwa, które brało udział w wojnie z Niemcami hitlerowskimi, w wojnie z faszyzmem.

Najdobitniejszym tego przykładem są choćby wybory w Anglii. Objawiły one nagle całemu światu, że i w tej kolebce liberalizmu mieszczańskiego, w tym przysłowiowym kraju konserwatyzmu społecznego dokonały się w toku wojny poważne przeobrażenia. Partia Pracy odniosła oszałamiające zwycięstwo dlatego, że wystąpiła z programem radykalnych reform społecznych, z programem nacjonalizacji szeregu podstawowych gałęzi przemysłu, transportu, Banku Angielskiego itd. Konserwatyści, mimo niewątpliwych zasług i popularności Churchilla, ponieśli najdotkliwszą bodaj w swojej historii klęskę wyborczą właśnie dlatego, że usiłowali się przeciwstawić radykalnym reformom społecznym, usiłowali zatrzymać koła historii w biegu, zatrzymać proces głębokiej demokratyzacji Europy.

A proces ten rozwija się z żywiołową siłą. Nowe myśli, nowe idee, nowe prądy społeczne torują sobie zwycięsko drogę poprzez wszystkie przeszkody i wały ochronne.

W każdym kraju proces ten posiada swój specyficzny charakter, lecz przy całej swej różnorodności zasadniczy kierunek tych zmian jest wszędzie ten sam.

Nowa demokracja, która dziś powstaje w Europie, wyszła już daleko poza ciasne ramki demokracji mieszczańskiej. Różni się też od niej w sposób zasadniczy.

Czy ma to oznaczać, że nowa demokracja po prostu wyrzuca na śmietnik historii cały dorobek demokracji mieszczańskiej?

Jasne, że nie. Nowa demokracja przejmuje z demokracji mieszczańskiej wszystko to, co jest w niej cenne, żywotne i — powiedzielibyśmy — co jest w niej „demokratyczne". I nie tylko przejmuje — lecz nawet rozwija, i rozszerza.

Mamy tu na myśli oczywiście przede wszystkim swobody demokratyczne, które muszą być i są kamieniem węgielnym **każdej** demokracji, takie zdobycze demokratyczne, jak: wolność słowa, wolność prasy, zgromadzeń, organizacjii, tworzenia partyj politycznych, wolność sumienia, religii, powszechne prawo wyborcze i t. d.

Weźmy przykład najbliższy — Polskę. Manifest 22 lipca 1944 r., pierwszy programowy dokument nowej demokracji w Polsce, proklamował wszystkie kardynalne swobody i prawa obywatelskie zagwarantowane przez Konstytucję 1921 r. i tę Konstytucję wziął za podstawę prawną swej działalności.

To nawiązanie do przeszłości jest jakby podkreśleniem faktu, że nowa demokracja strzec będzie jak źrenicy oka wszystkich zdobyczy demokratycznych wywalczonych przez lud, że będzie je pogłębiać i rozwijać.

Praktyka wykazuje, że te zapowiedzi realizowane są konsekwentnie, tak, jak cały program proklamowany w Manifeście P.K.W.N.

Weźmy dla przykładu wolność prasy. Jeszcze przed przewrotem faszystów w maju 1926 r., mimo gwarancji Konstytucji, poważny odłam społeczny (komuniści) nie posiadał legalnie swej prasy i musiał się uciekać do prasy nielegalnej. Ogromną większość gazet i wydawnictw stanowiła prasa burżuazyjna, bulwarowa, geszefciarska. Organy demokratyczne można było policzyć na palcach nie tylko z powodu trudności cenzuralnych, lecz również finansowych. Dzisiaj jest inaczej. Dziś wszystkie

ugrupowania demokratyczne, wszystkie partie polityczne, organizacje społeczne, mogą posiadać i posiadają legalne, własne organy prasowe. Wszystkim im bez wyjątku przydziela państwo papier i drukarnie. Nie mają natomiast możności wydawania swoich organów prasowych spekulanci i geszefciarze oraz wrogowie demokracji, czego chyba żaden demokrata, prawdziwy zwolennik prasy, nie ma powodu żałować.

Nowa demokracja zachowuje więc, pogłębia i rozszerza wszystkie zdobycze demokratycznej przeszłości, zachowuje wszystko to, co stanowi trwałą zdobycz i siłę demokracji, odrzuca natomiast z demokracji mieszczańskiej wszystko to, co się przeżyło, co — jak wykazało doświadczenie wojny i doświadczenie okupacji — stanowiło jej słabość, utrudniało mobilizację do walki z faszyzmem.

Jakie są te główne braki i słabości demokracji mieszczańskiej? Jakie są podstawowe różnice pomiędzy starą demokracją burżuazyjną i młodą demokracją ludową?

Pytanie to można by sformułować jeszcze i w inny sposób. Demokracja przeszła największą próbę ogniową w walce z faszyzmem, w wojnie z Niemcami hitlerowskimi. Tutaj ujawniły się z całą jaskrawością zarówno błędy i słabości demokracji, które doprowadziły w pierwszym okresie walki do poważnych jej porażek i łatwych sukcesów faszyzmu, jako też i siła demokracji, która w ostatecznym wyniku zadecydowała o jej zwycięstwie nad wrogiem.

Jeżeli więc chcemy znaleźć źródła słabości i siły demokracji, to możemy pytanie sformułować tak: jakie były przyczyny porażek demokracji w walce z faszyzmem? Jakie były przyczyny ostatecznego jej zwycięstwa?

Odpowiedź na te pytania będzie zarazem rozwiązaniem zagadnienia, jakie postawiliśmy przed sobą; zagadnienia słabości demokracji mieszczańskiej i siły demokracji ludowej.

Jest rzeczą niewątpliwą, że główną przyczyną początkowych porażek demokracji w walce z faszyzmem i wojnie z Niemcami hitlerowskimi było rozbicie, rozproszkowanie jej sił, brak jedności w antyfaszystowskim obozie, brak jedności, zarówno w skali międzynarodowej, wśród państw demokratycznych, jako też wewnątrz każdego państwa, wśród demokratycznych partyj i ugrupowań społecznych.

Oszołamiające sukcesy Niemiec hitlerowskich w polityce zagranicznej przed 1939 rokiem, jako też łatwe triumfy nie-

mieckiej wojny błyskawicznej były możliwe przede wszystkim dlatego, że Niemcom udało się osiągnąć swój cel polityczny rozprawienia się z każdym przeciwnikiem oddzielnie, niedopuszczenia do stworzenia się koalicji państw demokratycznych.

Niemcy mogli w „pokojowy” sposób zagarnąć Nadrenię. Zagłębie Saary, Austrię, Czechosłowację, a następnie kolejno rozgromić militarnie: Polskę, Norwegię, Danię, Belgię, Holandię, Francję, wreszcie Jugosławię i Grecję przede wszystkim dlatego, że nie było wtedy jeszcze scementowanej i silnej koalicji antyhitlerowskiej.

Każde z tych państw oddzielnie wzięte było słabsze od Niemiec i do wojny gorzej przygotowane i dlatego w walce sam na sam z Niemcami musiało ulec.

Natomiast wszystkie te państwa razem wzięte, zjednoczone i wspólnie działające były dziesięciokroć silniejsze od bloku faszystowskiego i losy tej walki przy zjednoczeniu sił demokratycznych były z góry przesądzone na korzyść demokracji.

Toteż wszystkie rachuby Hitlera polegały na tym, aby do tego zjednoczenia nie dopuścić, aby jedność tę rozbić i wygrywać przeciwieństwa pomiędzy państwami demokratycznymi.

Związek Radziecki, państwo najbardziej przewidujące i prowadzące od samego początku do końca najbardziej konsekwentną politykę w stosunku do faszyzmu, po dojściu Hitlera do władzy wystąpiło z projektem stworzenia bloku państw związanych sojuszem o wzajemnej pomocy, czyli bloku państw antyfaszystowskich.

I jeśli do scementowania tego bloku nie doszło przed wojną, a nawet podczas wojny aż do roku 1941, to winę za to ponosi błędna i krótkowroczna polityka niektórych państw demokratycznych.

Z doświadczeń historycznych, porażek i klęsk, jakie odnosiły państwa demokratyczne w latach 1939 — 41 wyrosło powszechne zrozumienie konieczności zjednoczenia wszystkich sił demokracji do walki z faszyzmem, co umożliwiło zrealizowanie projektu wysuwanego przez Związek Radziecki jeszcze w 1935 roku — stworzenia potężnej koalicji antyhitlerowskiej. Ten historyczny fakt, który może nie przypadkowo zbiega się z datą napaści Niemców na Związek Radziecki, stał się niewątpliwie punktem zwrotnym w wojnie z Niemcami. Już nie państwa demokratyczne, ale Niemcy zaczęły ponosić jedną klęskę po dru-

giej, aż do ostatecznego rozgromienia ich przez potężny blok państw antyfaszystowskich z Anglią, Związkiem Radzieckim i Stanami Zjednoczonymi na czele.

Jednym słowem doświadczenie wojny uczy nas, że największa słabość demokracji przedwojennej, demokracji mieszczańskiej tkwiła w rozbiciu, w rozproszkowaniu jej czynników, a główna siła demokracji nowej tkwi w ich zjednoczeniu. Nowa Europa buduje trwały pokój i bezpieczeństwo narodów na mocnym fundamencie jedności państw demokratycznych, w szczególności jedności wielkich mocarstw, koalicji państw antyfaszystowskich: Związku Radzieckiego, Anglii i Stanów Zjednoczonych.

Są jeszcze jednak ciemne siły, którym ta jedność demokratyczna, scementowana w ciężkich zmaganiach z hitlerowskim grabieżcą, jest solą w oku. Są ludzie, którzy twierdzą, że po zwycięskiej wojnie, kiedy Niemcy zostały rozbite, nie ma już podstaw do jedności, że różnice między państwami zjednoczonymi, w szczególności między Związkiem Radzieckim a Anglią, uniemożliwiają jedność między nimi na dłuższą metę.

Trzeba sobie zdać sprawę z tego, jaki byłby wynik rozbicia jedności państw demokratycznych? Całkowite zaprzepaszczenie owoców wielkiego zwycięstwa nad hitleryzmem: wygrana wojna — przegrany pokój. Powtórzenie błędów przedwojennych, rozbicie demokracji doprowadzić by musiało do odrodzenia hydry faszystowskiej, doprowadzić by musiało nieuchronnie do trzeciej wojny światowej. Przecież jedyna szansa odegrania się, jedyna szansa powrotu do władzy, do „starych dobrych czasów" z przed 1939 roku — to rozbicie jedności demokratycznej, to rozpalenie nowej wojny światowej.

My w Polsce znamy bodaj najlepiej tę zgubną dla narodu politykę, zwaną u nas popularnie polityką „beckowską"; my w Polsce odczuliśmy bodajże najdotkliwiej skutki tej zbrodniczej, antysowieckiej gry politycznej sanacji.

Za politykę Becka demokracja polska, naród polski zapłacił wrześniem 1939 roku i przeszło pięcioletnią okupacją niemiecką. Kontynuatorzy i spadkobiercy tej przeklętej i zbrodniczej polityki chcieliby doprowadzić odrodzoną Polskę powtórnie do katastrofy. Lecz to im się nie uda tak samo, jak nie uda się żadnym innym siłom międzynarodowej reakcji.

Nowa powojenna Europa, świat cały pragnie pokoju i odbudowy gospodarczej i kulturalnej całej ludzkości.

Nowa demokracja chce mieć pewność, że walka i ofiary tej wojny nie poszły na marne; chce mieć absolutną pewność, że rok 1939 nie może się powtórzyć i nie powtórzy nigdy.

Doświadczenie dotychczasowe wykazało niezbicie, że mimo różnych ustrojów państw demokratycznych, mimo często sprzecznych interesów — jedność ich jest bezwzględnym warunkiem dalszego pomyślnego rozwoju ludzkości. Że nie ma takiej sprawy, nawet najtrudniejszej, nie ma takich różnic, nawet najistotniejszych, których nie dałoby się usunąć metodami demokratycznymi w rodzinie państw demokratycznych, jako podstawowej wartości: wolności, niepodległości i braterstwa narodów.

Toteż nowa demokracja zerwała ostatecznie i raz na zawsze z polityką waśni, knowań i wojen między narodami, a kamieniem węgielnym jej polityki w stosunkach międzynarodowych jest uznanie jedności państw demokratycznych, jako podstawowej gwarancji pokoju, bezpieczeństwa i wolności narodów. i nie ma takiej siły, która potrafiłaby ją z tej drogi zawrócić.

Jedność demokracji to nie tylko jedność narodów w walce z hitleryzmem, to również jedność wszystkich sił demokratycznych wewnątrz narodu czy państwa. I jeśli doświadczenie drugiej wojny światowej nauczyło nas, że główną przyczyną początkowych sukcesów Hitlera w tej wojnie był brak jedności między narodami demokratycznymi, to całe doświadczenie walki z faszyzmem wykazało niezbicie, że główną przyczyną słabości każdego z państw demokratycznych z oddzielna wziętych był brak jedności, było rozbicie wewnętrzne sił i ugrupowań demokratycznych.

Zwycięska demokracja polska nie zapomniała o doświadczeniach wojny i okupacji i po triumfie nad wrogiem, po wyzwoleniu kraju. Dewizą jej było — strzec jedności narodowej jak źrenicy oka. Okres pomiędzy powstaniem Komitetu Wyzwolenia Narodowego i Rządu Jedności Narodowej był okresem dalszej konsolidacji wszystkich sił demokratycznych, okresem rozszerzenia, umocnienia frontu narodowego. Nawet ci ludzie i te ugrupowania społeczne, które początkowo nieufnie lub z rezerwą odniosły się do linii politycznej demokracji polskiej, przekonały się w praktyce, w obliczu niezaprzeczalnych ogromnych osiągnięć zarówno w dziedzinie polityki zagranicznej jak i wewnętrznej, że droga, którą kroczy nowa demokracja, jest drogą jedynie słuszną, jedynie możliwą i zaczęły coraz liczniej doszlusowywać do wspólnego frontu demokracji. Powstanie

Rządu Jedności Narodowej, rozszerzenie jego bazy społecznej przez wciągnięcie do współpracy szerokich rzesz dotychczas wahających się elementów, słusznie było ocenione jako potwierdzenie słuszności linii, jako zwycięstwo procesu zjednoczenia demokratycznego.

Konsekwentna polityka jedności narodowej, która kazała zwycięskiej demokracji polskiej, mimo poważnych różnic w programach politycznych, wyciągnąć rękę do zgody i współpracy do wszystkich ugrupowań społecznych w kraju i za granicą, mimo wielkich trudności, mimo poważnych wahań wydała swoje owoce. Im bardziej jedność ta umacniała się, tym bardziej krzepła siła demokracji polskiej, tym szybciej i gruntowniej mogła ona wykonać zadania stojące przed nią, pokonać trudności piętrzące się wewnątrz i zewnątrz. Przykładem tego może być zwycięstwo Polski w Poczdamie, utrwalenie naszych granic zachodnio-północnych na Odrze, Nissie i Bałtyku, co stało się możliwe w dużej mierze dzięki temu, że na terenie międzynarodowym, jako wyraziciel zjednoczonej opinii publicznej i słusznych praw Polski, wystąpił Rząd Jedności Narodowej.

Wrogowie nowej demokracji występują często przeciwko jedności narodowej z „niezbitym argumentem", że jedność ta prowadzi w praktyce do monopartii. Powołują się przy tym na przykład Związku Radzieckiego, gdzie, jak wiadomo, istnieje jedna partia polityczna. Argument ten obliczony jest tylko na naiwność i nieświadomość polityczną. Jasne jest bowiem, że budujemy dziś nową demokrację w Polsce w warunkach zupełnie odmiennych, niż w Związku Radzieckim, kraju socjalistycznym i na innych podstawach. W Związku Radzieckim nie może być wielu partii politycznych, ponieważ nie ma gruntu, podstaw społecznych dla ich istnienia, ponieważ nie ma klas społecznych o różnych, przeciwstawnych sobie interesach.

W Polsce natomiast istnieją różne klasy społeczne — proletariat, chłopstwo, drobnomieszczaństwo, burżuazja o odrębnych interesach społecznych, a co za tym idzie — o różnych programach politycznych.

Dla realizacji tych swoich odrębnych interesów i programów klasy te muszą posiadać możność tworzenia odrębnych organizacyj politycznych i możność tę posiadają.

W Polsce, jak wiadomo, istnieje sześć partyj politycznych, reprezentujących różne klasy i ugrupowania społeczne. A więc: Polska Partia Socjalistyczna i Polska Partia Robotnicza, to organizacje klasy robotniczej — proletariatu; Stronnictwo Ludo-

we i Polskie Stronnictwo Ludowe — reprezentuje interesy chłopstwa, Stronnictwo Demokratyczne i nowopowstałe Stronnictwo Pracy — rzesze inteligencji i drobnomieszczaństwa, a częściowo nawet burżuazji. Każda z tych partyj posiada swój odrębny program polityczny, mniej lub więcej odzwierciadlający dążenia i interesy klasy lub grupy społecznej przez nią reprezentowanej.

Te różne interesy społeczne, nie zawsze dają się pogodzić, toteż nic dziwnego, że dochodzi do różnicy zdań i starć, a nawet do walki politycznej między poszczególnymi partiami. Jest to zupełnie zrozumiałe i konieczne.

Co więcej, nawet w łonie jednej partii istnieją wewnętrzne tarcia i różnice poglądów na szereg podstawowych zagadnień. I to jest również zrozumiałe i niezbędne. Weźmy np. Stronnictwo Ludowe. Reprezentuje ono interesy chłopstwa. Lecz jasne jest dla każdego, że chłopstwo nie jest czymś jednolitym, że w łonie samego chłopstwa proces historyczny doprowadził do głębokiego rozwarstwowienia, do stworzenia kilku klas społecznych. Każdy wie, że istnieją chłopi bezrolni, małorolni, średniorolni, wreszcie chłopi bogaci. Jasne jest, że interesy chłopa bezrolnego, czy też małorolnego nie mogą być identyczne z interesami chłopa bogatego. Że interesy ich są odrębne, często przeciwstawne. Jeśli chłop, bezrolny, małorolny, czy średniorolny, jest zainteresowany w przeprowadzeniu radykalnej reformy rolnej, która daje mu ziemię i stanowi o dalszym jego losie, to chłop bogaty niewątpliwie nie jest tym zainteresowany w takim stopniu. Nic więc dziwnego, że może pomiędzy nimi dojść do poważniejszych różnic a nawet konfliktów. Rozłam w Stronnictwie Ludowym nie jest niczym innym, jak odbiciem tych różnych interesów, różnych klas społecznych, które razem wzięte nazywamy chłopstwem.

Podobną analizę społeczną moglibyśmy przeprowadzić w stosunku i do innych klas społecznych. I tu znaleźlibyśmy poważne różnice wśród różnych ugrupowań i warstw. Te różnice pomiędzy różnymi klasami społecznymi doprowadzały w przeszłości do walki wewnętrznej, do rozproszkowania sił demokracji. Dla okresu dzisiejszego charakterystyczny jest właśnie fakt, że ponad tymi różnicami, sprzecznościami i odrębnościami różnych warstw społecznych góruje wspólny interes, wspólne dążenie, wspólny cel, który jednoczy wszystkich, który pozwala im znaleźć wspólny język, wspólną platformę porozumienia. W okresie poprzedzającym tym wspólnym wy-

kładnikiem była walka z faszyzmem, walka z kliką monopolistów, zagrażającą samym podstawom istnienia i rozwoju wszystkich warstw społecznych. Dzisiaj, po zwycięstwie nad faszyzmem — konieczność zbudowania nowego, wspólnego domu dla wszystkich, takiego porządku społecznego, który stwarzałby podstawy istnienia i rozwoju dla wszystkich tych klas. Budujemy w Polsce taki nowy dom, w którym współgospodarzem jest i będzie i robotnik i chłop i inteligent i drobnomieszczanin; taki, w którym każdy z nich będzie się czuł dobrze. Żeby dom ten był trwały i solidny, żeby czuły się w nim dobrze wszystkie warstwy społeczne, może i musi być zbudowany tylko na fundamencie demokracji. W demokracji zainteresowany jest zarówno robotnik, jak chłop i inteligent, gdyż demokracja to jedyna możliwość władzy większości, ich wspólnej władzy.

Oligarchia finansowa, klika monopolistów, klika faszystowska dążyła do narzucenia takiego porządku społecznego, w którym by cały naród, wszystkie warstwy społeczne wznosiły wielki gmach dla niej, jako jedynych i niepodzielnych gospodarzy. I dlatego gmach ten musiał runąć i rozpaść się w gruzy. Dzisiaj ogromna większość, oprócz małej garstki wielkich kapitalistów i obszarników, buduje gmach dla wszystkich. Dlatego dom ten będzie mocny i trwały.

Jasne jest, że zbudować go nie może jedna klasa społeczna, że nie potrafią go zbudować ani sami robotnicy, ani sami chłopi, ani samo drobnomieszczaństwo czy też sama inteligencja; że muszą go wznosić razem, wspólnym trudem i wysiłkiem. Im zjednoczenie to będzie silniejsze, im front narodowy szerszy, tym budowa postępować będzie szybciej i oparta będzie na trwalszych podstawach.

Jądrem szerokiego frontu narodowego, jego podstawową częścią składową jest niewątpliwie klasa robotnicza. Podobnie jak poprzednio wzięła na siebie inicjatywę zjednoczenia wszystkich sił demokracji do walki z faszyzmem i w walce tej stanowiła awangardę, tak i dziś na niej spoczywa główny ciężar w budowaniu nowej demokracji. Klasa robotnicza przoduje w tej wielkiej sprawie swoją ofiarnością, oddaniem, organizacją, zwartością swych szeregów — swoją świadomością społeczną.

Doświadczenie wykazało niezbicie, że od jedności klasy robotniczej zależy w pierwszym rzędzie siła i spoistość całego frontu narodowego. Jednolity front proletariatu był zawsze

podstawą dla stworzenia szerokiego frontu ludowego i narodowego. Im proletariat był bardziej zjednoczony, tym szersze warstwy chłopstwa i drobnomieszczaństwa potrafił przyciągnąć na swoją stronę, tym trwalej jednoczył je we wspólnej walce z faszyzmem. Dlatego zrozumiała jest zasadnicza tendencja zjednoczenia całego proletariatu w skali międzynarodowej, zlikwidowania rozłamu organizacyjnego, stworzenia jednej partii robotniczej. Ten powszechny proces w niektórych krajach, jak np. w Norwegii, znajduje się już w stadium końcowym organizacyjnego zjednoczenia partii komunistycznej i socjal-demokratycznej. W Polsce również występuje tendencja do jak najściślejszej współpracy dwóch partyj proletariackich, P.P.S. i P.P.R., jako niezbędny warunek trwałości i siły frontu demokratycznego. Różnice w programach obu partyj ongiś poważne dziś zacierają się coraz bardziej. Jest to proces naturalny i konieczny, gdyż klasa robotnicza jest jedna, jedne są interesy i nie ma na długą metę podstaw dla istnienia dwóch partyj politycznych proletariatu. Świadomość tego narasta coraz bardziej w szeregach obu partyj, lecz proces ten nie jest bynajmniej łatwy i nie może nastąpić przez mechaniczne połączenie organizacyjne. Muszą być wpierw w praktyce przezwyciężone tkwiące głęboko w obu partiach różnice polityczne i taktyczne, zakorzenione z okresu wzajemnych walk nieufność, odrębne tradycje. Mogą one być przezwyciężone i muszą być przezwyciężone tylko w procesie najściślejszej współpracy i współdziałania wszystkich ogniw obu partyj od najniższych do najwyższych.

Z zagadnieniem jedności proletariatu łączy się sprawa zdobycia, i to trwałego, chłopstwa i drobnomieszczaństwa, czyli t. zw. klas pośrednich. A jest to sprawa niezmiernie ważna. Doświadczenie nauczyło nas, że gdy proletariat był rozbity, gdy nie posiadał dostatecznej siły atrakcyjnej, aby pociągnąć za sobą szerokie rzesze warstw pośrednich, żerował na tym faszyzm, pociągając za sobą demagogicznymi obietnicami część chłopstwa i drobnomieszczaństwa.

Dziś, gdy faszyzm został rozbity, gdy najszersze masy chłopstwa i drobnomieszczaństwa rozumieją konieczność współpracy, i wspólnej drogi z klasą robotniczą, istnieją również wszelkie warunki obiektywne dla stworzenia naprawdę szerokiego i naprawdę trwałego frontu narodowego. Po tej drodze twardo i niewzruszenie kroczyć musi nowa demokracja i nie ma takiej siły, która potrafiłaby ją z tej drogi zawrócić.

JERZY KORNACKI

Spólnota Związku Rad

I.

Nie mogę wiedzieć, w jakiej mierze, czy dość jasno i silnie doceniacie takie słowo — SPÓLNOTA — o którym coraz częściej myślę w ciągu dnia. I jestem dumny jako Polak, że mamy to słowo, bo nie wszystkim narodom dane jest je mieć; — takie słowo samo jedno, w którym jak w zwierciadle widzieć by można cichy dom rodzinny, i widną szkołę, i fabryczny ruch, i partyjne sztandary, i ziemię ojczystą, wszystko to, co czujemy jako nasze, spólne z innymi, z jakąś miłą sercu gromadą...

Więc zajrzyjmy w to słowo głęboko aż do dna. Pojęciowo świeci mi się ono tą samą treścią, co inne słowiańskie słowo — SZCZĘŚCIE. Etymologiczny wywód spólnoty i szczęścia jest zresztą taki sam. Szczęście w językach słowiańskich znaczy część w podziale spólnego dobra, udział sprawiedliwy w zdobyczy spólnej. A pół czy połowa, z której spólnota się wywodzi, oznaczała dawniej nie tylko samo równe pół na pół, lecz także część z podziału, także udział jakiś w jakiejś całości.

Łączą mi się ściśle te dwa polskie słowa, te dwa słowa słowiańskie, pełne spólnej socjalistycznej treści. Widzę w nich i pytanie i odpowiedź naszych czasów walki o powszechne uspołecznienie mas. Bo dziś w piątym wieku naszej świeckiej kultury, w piątym stuleciu walki o wolność i równość ludzi na ziemi, gdy nas spytają o to nasze szczęście, dla którego walczymy, — gdzie ono, jakie ono, odpowiemy tamtym drugim słowem — SPÓLNOTA. Ciągle pamiętając, że już dawno, od początku dziania się dziejów, Słowianin tak rozumiał swoje szczęście.

* * *

Nie tylko przed uczoną socjologią spółczesną, ale przed każdym człowiekiem, świadomie budującym sobie dzisiaj swoje własne szczęście, staje powinność trudna przemyślenia do głębi, jeśli nie można aż do dna, sprawy spólnoty ludzkiej. Jej sercem przeczuwać nie wystarczy w bezsenne nocne godziny, kiedy się jawi jasno przed człowiekiem, płaczącym gorzko w samotności, że w samotności swego życia szukając szczęścia, nie znalazł... I nie wystarczy wiedzieć, że szczęście jest dobrem społecznym.

I nie wystarczy zbadać, że od dawna już, bo od początku dziania się dziejów, budowali ludzie różne domy spólnot i prowadzili różne wojny spólnot, w nich szukając, w nich znajdując moce swego szczęścia.

Przemyślenie do końca istoty spólnoty, omówienie choćby tylko najbardziej pobieżne przeróżnych jej postaci — od dwuosobowej krótkotrwałej spólnoty spółczesnego małżeństwa, do rzesz niezliczonych, poprzez tysiąclecia tworzących spólnotę Rzymskiego Kościoła, albo spólnotę Narodu Niemieckiego — obejrzenie budowy rozmaitych spólnot, drogi ich życia i przyczyn ich śmierci, wszystkie te sprawy wagą i rozmiarem przekraczają to trochę, które chcę i mogę tutaj powiedzieć. Lecz dopowiem jedno: niezależnie od naszych pragnień i przeciwów, niezależnie od naszej woli, nawet świadomości, jesteśmy tworem spólnot rodowych, plemiennych, wyznaniowych, państwowych, zawodowych, wszelkich spółistniejących z nami w przestrzeni i w czasie.

Nie mogąc nie być, musząc być tworami różności spólnot nas otaczających, możemy przecież w dialektyce życia, być ich także twórcami, świadomie i dzielnie budującymi szczęście i nasze i naszych...

Być tylko tworem, czy być także twórcą? Szczęście ludzkiego życia kiełkuje i rośnie, kwitnie i owocuje najpiękniej, najmocniej, w ludzkiej gromadzie, mądrze, dzielnie, równo spółdziałającej.

II.

Będę mówić o spólnocie Związku Radzieckiego. Przywiozłem sobie stamtąd pewną pełnię wrażeń i badań i rozmyślań dotyczących sprawy socjalizacji życia, tej najistotniejszej, najpierwszej sprawy naszych czasów. Przecież nigdzie tak masowo, jak w Związku Radzieckim, tak żywiołowo i tak już zwycięsko ludzie nie łączą się w gromady, w nich szczęście znajdując, w treściach spółżycia. Więc człowiek radziecki jest człowiekiem śród ludzi. Stąd jego szczególnie znamienna cecha, jego wdzięk bezwiedny a przemożny, jego wartość cenna zawsze i wszędzie, że umie spółżyć z ludźmi, a umiejąc spółżyć, lubi spółżyć. W jakiej mierze tę zdolność i tę umiejętność człowiek radziecki dziedziczy z dawno dawnych czasów prasłowiańskiej spólnoty wiejskiej, — trudno tę rzecz zbadać, więc jej treść, jej istota, sprzyja łączeniu się ludzi, zupełnie wyraźnie

do tego ich namawia, gdy wychowuje rzesze swoich młodych w kulcie szczęścia właśnie gromadnego, właśnie spólnego.

Szczęście spółżycia nie jest rzeczą łatwą. Wymaga splotu warunków niezbędnych, by mogło w sercach zaistnieć społecznie, choćby już tylko jako cel dróg dojścia. Śród tych warunków będzie niepoślednim właśnie masowość pragnień, właśnie ich powszechność w rzeszach społecznych. Nie jednostka ludzka, nie jakiś jeden zespół, lecz rzesze społeczne muszą przystąpić szczerze i rzetelnie do budowy spólnoty darzącej każdego udziałem w szczęściu spólnym. Bo inaczej zdrada rozwali dzieło trudu, rozgrabi prywata ów skarb spólnego dobra, i znowu raz jeszcze powiedzą sobie ludzie, że nie można razem, bo są mędrsi i głupsi, mocniejsi i słabsi, i że życie człowieka może być jedynie i wyłącznie ciągłą walką, twardą i okrutną, bezwzględną, bezlitosną, na życie i śmierć, walką z innymi ludźmi...

Spólnotę radziecką jeden człowiek począł mocą swej myśli twórczej: Włodzimierz Lenin. Jeśli od tej strony spojrzymy na jego dzieło, zobaczymy wielkość właśnie tu, gdzie potrafił obudzić i porwać rzesze społeczne, każdego i wszystkich, dla wszystkich jasną, dla każdego ważną wymową swego hasła. A tym jego hasłem było słowo, zwycięsko dziś w kraju radzieckim górujące nad wszystkim, przemożne dziś wszędzie, słowo — PRACA.

* * *

Dla uszu niejednego Polaka słowo PRACA brzmi odpychająco... Czyśmy nie słyszeli okrzyków i nawoływań sanacyjnych panów wojewodów, starostów, inspektorów pracy, do wzmożenia naszej pracy dla państwa, do podciągnięcia Polski sanacyjnej wzwyż poprzez pracę robotnika i chłopa?... Tak było, Obywatele, ale jednocześnie nie było pracy w Polsce. Robotnik nasz nie mógł, nie ważył się pokazać, że pracuje chętnie, bo to groziło zaraz obcięciem zapłaty, zniżką poborów. Tylko poprzez strajk, tylko przez walkę mógł robotnik polski uzyskać wyższą zapłatę za pracę i lepsze tej pracy warunki. Dzieje rzesz pracujących w sanacyjnej Polsce, to dzieje nędzy, wyzysku, teroru i strasznej drogi przez rozpacz do buntu...

Przeszło, minęło... Przestańmy wspominać! Spojrzeliśmy w tę przeszłość po to, by zobaczyć, że nie musiała być taka.

Mogło być inaczej. I może być inaczej. Praca może być nie tylko nagradzana słusznie, sprawiedliwie, suto i godnie. Praca może być istotą i zasadą ustroju spólnoty droższej nad życie, ukochanej tak, jak kocha radziecki żołnierz spólnotę radziecką na froncie wojny totalnej. By zrozumieć opór Armii Czerwonej, by móc zgłębić sens ogromu jej zwycięstwa, trzeba nam pojąć treść zaklętą w słowach: SPÓLNOTA PRACY.

III.

Oczywiście także poprzez czasopisma, broszury, książki, ale przede wszystkim poprzez żywą rozmowę z ludźmi postarajcie się poznać dokładnie zagadnienie pracy w Związku Radzieckim. Nie żałujcie czasu. Ta sprawa jest najważniejsza. Dokoła tu macie żołnierzy Armii Czerwonej, macie też Polaków, którzy wrócili do Polski ze Związku Rad. Pytajcie ich, niech powiedzą, na wszelkie sposoby, ogólnie i szczegółowo... O pracy w kołchozie, o pracy w cechach fabrycznych, i o normach pracy, i o zapłacie. Jeszcze, jeszcze raz, żebyście prawdę wiedzieli, żebyście dokładnie rozróżniali pojęcia takie, jak udarnik i stachanowiec, żebyście powiedzieć mogli samemu sobie zwięźle, prosto, jasno, co to znaczy kombinat...

Dużo czytałem i dużo mówiłem z ludźmi zarówno o ustroju pracy radzieckiej, jak i o jej wyczynach. Szczególnie jednak starałem się pojąć całą doniosłość, całą wyjątkowość pracy radzieckiej, jako tej zasady, która ze Związku Socjalistycznych Republik zbudowała spólnotę duchową, życiową społeczeństw i narodów radzieckich. Hasła Lenina o powszechności pracy, a potem następców jego wielkie pociągnięcia w dziedzinie przemian ustrojowych pracy, pełnia tych przemian i ogrom osiągnięć — i oto śmiercią niesławną ginie w duszach jeszcze biblijne rozumienie pracy, jako przekleństwa, jako kary bożej za pierwszy grzech człowieka.

W skali społecznej, masowej, po raz pierwszy w dziejach, rzesze ludzkie znajdują w pracy, w jej ryzyku, wyścigu, w jej żywiole, żywy spólny skarb spólnego szczęścia. Łączą się w zespoły, by razem, ramię w ramię, myśl w myśl i ruch w ruch, spólnie poprzez całego życia trudny dzień roboczy, tworzyć dzieła swej pracy. Zawsze trudny cel przed każdym zespołem robotników, zawsze cel nad siły, wyzwalający dzieł-

ność wciąż bardziej i bardziej rosnącą w siły. I zawsze skutek — owoc — dzieło wszystkich chwil, rąk, myśli i dzielności, źródło zawsze żywe dumy najsłodszej, radości najgłębszej, spólny twór pracy i spólny skarb szczęścia, stworzony spólnie.

Te wytwory pracy radzieckiej mogą być podobne do wytworów społeczeństw Europy, Wielkiej Brytanii, obydwóch Ameryk, jednakże praca radziecka różni się zupełnie od pracy w tamtych ustrojach, — właśnie dlatego, że jest sama w sobie motorem spólnych doznań, dojmująco miłych, i że jest spólną sprawą, droższą ponad życie, ogniem całej spólnoty.

* * *

Żywioł pracy, władający spólnotą radziecką, sprawia magicznie, że człowiek ją widzi poprzez ruch ciągłych przemian. Odjeżdżając, gdy żegnasz miejsca już poznane, żegnasz na zawsze. Za rok wszystko tutaj będzie już inne. Moskwa wciąż jest inna, bo nawet w trzecim roku wojny, żywioł pracy przemożnie przerastał rosnące potrzeby frontu.

I oto zwiedzamy stacje metra, budowane w najcięższych, najgorszych chwilach walki z najazdem. A oto patrzymy znów na dom ogromny, jeszcze z carskich czasów, wielopiętrowy, o którym nam mówią, że przed rokiem stał na innej ulicy, więc go tu przewieziono razem z mieszkańcami, w całości, od komina aż do fundamentów, metr na godzinę, bo na tej ulicy lepiej się prezentuje... Ileż już takich domów w Moskwie widzieliśmy, poprzestawianych stamtąd tu, dlatego tylko, żeby było wciąż ładniej...

A kiedy się słyszy o zmianach na Syberii, wszędzie na Uralu i za Uralem dalej na wschód i dalej na południe, i gdy się widzi plany odbudowy miast i kołchozów zdruzgotanych wojną — wówczas to właśnie zrozumiałem w pełni szczęście spólnoty, którego istotą jest czyn wszechmocny.

IV.

Gigantyczny nurt pracy na pewno jest głównym, zasadniczym motorem, dzierżącym przemożnie jedność spólnoty radzieckiej. Ale widzę wciąż motor drugi, jednoczesny — i nie wiem, czy równie ważny, a nie wiem dlatego, że są przecież

wartości, których porównać ze sobą nie podobna. Więc jest drugi motor... lecz go nie nazwę świadomością dziejów, ale pamięcią dziejów, jako że jest szersza pamięć od świadomości.

Widzieliście ją, pamięć radziecką, tu na polskiej ziemi, wszędzie, gdzie żołnierz czerwony zwyciężał dzielnością. Pamięć radziecka szła za nim krok w krok, czerwonym, białym, czarnym, zielonym napisem na murach ruin, na ścianie wagonu: — Bądź bohaterem!

Socjalizacja życia radzieckiego, jej ruch, jej dzianie się społeczne, pędzi dwoma nurtami, ciągle obejmując, ciągle chroniąc, ożywiając, wzmagając i dzierżąc jedność spólnoty. W pracy trudzisz się razem z innymi, gorąco i twórczo nad spólnym dziełem, które ciągle rośnie we wszystkich rękach. Ale jednocześnie pamiętasz... Jesteś uczniem; profesorem, inżynierem, majstrem, robotnikiem, poetą — pamiętasz o jednem, o Związku Rad, o Spólnocie. Są na ścianach szkolnych, na ścianach fabryk, urzędów, stołowni, nie tylko kolorowe litery napisów propagandowych, nie tylko portrety Stalina, Kalinina i Mołotowa, nie tylko fotografie dzielnych udarników i stachanowców twojej spólnoty pracy, i nie tylko życiorysy bohaterów Spólnoty Związku Rad... Liczne, wciąż nowe, inne z każdym dniem zawiadomienia, ogłoszenia, wzmianki, informacje, przypominają, że dziś o dwudziestej, jutro o siedemnastej, w niedzielę od rana, odczyt, referat, wykład, dyskusja, zebranie...

Kiedy się człowiek rozgląda w radzieckim systemie organizacji pracy, kiedy się zastanawia nad tem, w jaki sposób każdy pracownik radziecki daje sobie radę w ciągłem napięciu wyścigu dzielności swej pracy zawodowej, zdaje się wówczas, że cały dzień życia wypełnia tylko wysiłek sprostania normom zawodu... Lecz nic podobnego! Robotnik radziecki ma czas i siły, ma ochotę żywą zawsze i świeżą pójść, posłuchać, zobaczyć, przemówić samemu, pomyśleć ze wszystkimi, zastanowić się, postanowić gromadnie...

Przede wszystkim jednak — — pamiętać. W każdej chwili życia umieć na pamięć dzieje swej spólnoty rok po roku, dzień po dniu... Zdumiewałem się niejednokrotnie tym morzem pamięci w radzieckiej głowie żołnierza, szofera wieśniaczki, ucznia. Chcą wszystko pamiętać. Ciasnym tłumem brodzą po Muzeach Lenina i Rewolucji, po wszystkich wysta-

wach, patrząc, słuchając, ucząc się na pamięć dziejów najdroższych. Wszystkie miejsca wykupują w kinach i w teatrach, rozchwytują nakłady wszystkich książek, lecz pamiętają na pamięć tylko te niektóre, w których ogromna Spólnota się przegląda...

Znają ją — kraj szeroki. Życzenie serdeczne, najserdeczniejsze, jakie w sercach noszą przez całe życie, to — poznać ją lepiej, Spólnotę, kraj szeroki. Stalina zobaczyć, ale i Krym, i Kaukaz, i Ural i Kijów — żeby potem wspominać. Żyło. było się, widziało się, słyszało... Rozmaita ona, rozległa, piękna, mocna do zapamiętania, dobra do zapamiętania, Spólnota radziecka spólnego szczęścia.

V.

Będę szczęśliwy, jeśli z tych słów tutaj zapamiętacie choćby tylko jedno: SPÓLNOTA...

Strasznych pięć lat wojny przeżyliśmy, rozmaicie, czynnie i bezczynnie, kryjąc się w obcych stronach i w obcych nazwiskach, albo zwyczajnie żyjąc, po dawnemu, mieszkając i pracując... Od bratniej mogiły Majdanka, Oświęcimia czy Oranienburga ocalił nas nie tylko szczęśliwy przypadek, że powleczono tam innego Polaka na kaźń. Ocaliła nas wszystkich jak tutaj jesteśmy, Armia Czerwona, orężne, przemożne ramię spólnoty radzieckiego sąsiada...

Obywatele, z nami Związek Radziecki, ale przed nami Polska. To samo zbrojne ramię czerwonego żołnierza pomogło nam nie tylko wyzwolić do końca, do nowych granic zachodnich wszystkie ziemie polskie, lecz także zabezpiecza przyszłą dolę tej ziemi przed powrotem tamtej dawnej Polski, która nie była nigdy spólnotą robotnika i chłopa.

Mało nas wszystkich żyjących tutaj, gdzie możemy myśleć i działać razem. Jeszcze mniej takich, którzy chcą się łączyć dla pracy nad dobrem spólnym. Jeszcze mniej takich, którzy chcą sie łączyć i wiedzą po co. Tkwimy, wszyscy Polacy, każdy w żałobie swojej, osobnej, swojej własnej, każdy w swych własnych troskach każdy w swych własnych myślach, a przecież jest, gdzieś jest po całej Polsce rozlana żałoba całej Polski, troska o całą Polskę, myśl, która chce być spólna...

TEOFIL WOJEŃSKI

Światopoglądowe podstawy literatury przedwojennej

Wybuch pierwszej wojny światowej w sierpniu 1914 roku wstrząsnął posadami ustroju politycznego i gospodarczego Europy, podważył zarazem podstawy jej dotychczasowej kultury. Czteroletnia wojna, powodując ogrom zniszczenia w zakresie dóbr materialnych i duchowych, nie przyniosła jednak w swoim ostatecznym wyniku rozwiązania sprzeczności nagromadzonych w ciągu ostatniego ćwierćwiecza przed wojną. Po zawarciu pokoju konflikty polityczne i gospodarcze odżyły z nową siłą w jeszcze jaskrawszej postaci. Zarówno w płaszczyźnie wewnętrznych stosunków w poszczególnych państwach, jak i w płaszczyźnie stosunków międzynarodowych nowe życie po wojnie montowało się na starych zmurszałych, nadwyrężonych jeszcze bardziej przez wojnę podstawach. Wprawdzie karta polityczna Europy uległa zmianie w myśl głoszonego w czasie wojny przez aliantów prawa narodów do stanowienia o sobie, wprawdzie szereg narodów (w ich liczbie i Polska) odzyskał niepodległy byt państwowy; nie umiano jednak zorganizować nowego układu stosunków międzynarodowych, który by tę wielką zdobycz utrwalił i zapewnił powstałym państwom normalne warunki rozwoju i trwały byt.

Świadczy o tym dobitnie wybuch wielkiej wojny światowej pierwszego września 1939 r. i los tych państw w czasie tej wojny.

Liga Narodów w swojej ostatecznej formie stała się szacowną pamiątką pięknych intencyj, pozbawioną wszelkich realnych politycznych wartości. Siłami istotnymi kształtującymi stosunki międzynarodowe, pozostały, tak jak przed wojną, imperializm i nacjonalizm. W tych warunkach nowa struktura polityczna Europy nabierała charakteru prowizorycznego.

Nie zostały również po wojnie rozwiązane palące problemy gospodarcze. Liberalizm ekonomiczny, który w okresie ustalania się ustroju kapitalistycznego przyczynił się w niemałym stopniu do rozwoju przemysłu i handlu, do wzbogacenia państw europejskich i dobrobytu mieszczaństwa, w dal-

szym rozwoju kapitalizmu stawał się siłą coraz bardziej dezorganizującą życie gospodarcze. Destrukcyjny wpływ rozkładu światowego kapitalizmu dawał się we znaki tym bardziej, im organizm danego państwa był słabszy. Klęska bezrobocia dotknęła nawet najsilniejsze pod względem gospodarczym państwa. Połowiczne próby w postaci etatyzmu, zatamowania destrukcyjnego działania wolnej konkurencji w tej fazie rozwoju kapitalistycznego, nie mogły i nie dawały zadowalającego rezultatu.

Twórczy w XIX stuleciu ruch demokratyczny przestaje być teraz dla mas atrakcyjny — ulega zatamowaniu. W płaszczyźnie wewnętrznego życia politycznego państw europejskich osiąga demokracja polityczna nieomal pełnię swego rozwoju. Po wojnie światowej giną pozostałości absolutyzmu w Europie. Pada w gruzy carat rosyjski, znika z widowni cesarstwo austriackie i niemieckie. We wszystkich krajach szerokie masy uzyskują pośredni wpływ na kształtowanie się politycznego życia (parlamentaryzm). Dalszy rozwój ruchu demokratycznego mógł iść w kierunku realizacji ideałów demokracji w dziedzinie gospodarczej, kulturalnej oraz stosunków międzynarodowych. Realizacja jednak ideałów demokracji w tych dziedzinach godziła w podstawy ustroju kapitalistycznego i nie leżała w interesie klas uprzywilejowanych przez ten ustrój. Stąd odwrót mieszczaństwa od ideałów demokracji. Demokracja mieszczańska, ograniczająca się do swobód politycznych, nie zdobyła sobie popularności w szerokich masach, przewaga bowiem gospodarcza mieszczaństwa czyniła te swobody polityczne iluzorycznymi. W tych warunkach ruch demokratyczny doszedł po wojnie do martwego punktu. Ideały i hasła demokracji przestały być siłą motoryczną przeobrażeń społeczno-gospodarczych i utraciły swoją atrakcyjność. Atrakcyjne natomiast stają się dwa prądy: komunizm i totalizm. Pierwszy posiada charakter rewolucyjno-społeczny (dyktatura proletariatu), organizuje siły społeczne dla utrwalenia nowego ustroju gospodarczego, drugi posiada charakter zachowawczy, usiłuje na drodze gwałtu zagrodzić drogę dalszej demokratyzacji stosunków. W ciągu dwudziestokilkuletniej przerwy między wojnami światowymi jesteśmy świadkami wzrastania w siły obu tych prądów. Domeną jednego z nich jest Rosja, w której na gruzach dawnego carskiego ustroju utrwala się nowy komunistyczny ustrój. Drugi prąd — totalizm, ujawnił się naprzód we Włoszech

w postaci faszyzmu, by najpełniej rozwinąć się w Niemczech w postaci narodowego socjalizmu. Tutaj też totalizm stanie się formą, pod którą w najjaskrawszej postaci wystąpi nacjonalizm i imperializm.

Bezładowi w dziedzinie gospodarczej i politycznej w tym okresie towarzyszyć będzie bezład i w dziedzinie ruchu umysłowego. Wojna światowa, jej przebieg i wynik, spotęgowała i wyjaskrawiła chaos i splot sprzeczności, ujawniający się w życiu umysłowym Europy jeszcze przed wojną, na przełomie XIX i XX wieku. Najjaskrawszym przejawem tego kryzysu kultury mieszczańskiej był widoczny już bezpośrednio przed wojną nawrót do irracjonalizmu (nietzscheanizm, bergsonizm, freudyzm itp.). Popularność tych teoryj wśród inteligencji europejskiej po wojnie może być miarą siły nawrotu do irracjonalizmu. Jeżeli zważy się, że punktem wyjścia kultury mieszczańskiej była kultura wieku oświecenia, wysiłek rozumowego opanowania rzeczywistości, że w tym wysiłku przejawiła się największa potęga tej kultury i że wynikiem tego wysiłku były największe, istotnie imponujące jej osiągnięcia (rozwój życia gospodarczego: podniesienie się poziomu powszechnej cywilizacji i kultury) — to w tej reakcji irracjonalizmu bez trudu dostrzeżemy przejaw jej bezsilności i upadku. Rozwój tej kultury, rozpoczęty od apoteozy rozumu i nauki jako dźwigni postępu, dźwigni przeobrażenia się ludzkości (przez coraz doskonalsze formy życia zbiorowego), wiodącej od mroków barbarzyństwa, w których ludzkością rządziły ślepe instynkty, ku opanowanej rozumowo przyszłości — kończył się oto pełnym sceptycyzmem, brakiem wiary w wartość rozumowego opanowania rzeczywistości, przyznaniem wyższości ślepym instynktom nad intelektem. Tak w tragicznym błędnym kole zamykał się rozwój kultury mieszczańskiej. Rozpoczęta od triumfalnego uznania świadomości za jedynie wartościową, kończyła korzeniem się przed podświadomymi stanami duszy.

Zaród rozkładu kultury mieszczańskiej tkwił u jej podstaw. Te same siły, które do czasu gwarantowały jej dynamizm, podkopywały jej podstawy. Uznanie praw natury za podstawowe i jedynie miarodajne dla stosunków międzyludzkich doprowadziły w konsekwencji do podważenia ideałów moralnych, na których opierała się cała dotychczasowa kultura. Pod wpływem teorii Darwina rozwiała się wiara w harmonię i celowość przyrody, a za podstawowe prawo natury uznane

zostało prawo walki o byt, jako decydujący czynnik rozwoju. Teorie te przyczyniły się w wybitnym stopniu do rozwoju nauk przyrodniczych i społecznych. Krańcowe jednak wnioski doprowadziły do płytkiego determinizmu, zrezygnowania z ambicji kształtowania stosunków międzyludzkich na zasadach humanitaryzmu w myśl ideałów stanowiących wielowiekowy dorobek kultury Krańcowy naturalizm i materializm wywołały reakcję przeciwko racjonalizmowi w ogóle. Dalszym twórczym wysiłkom opanowania rozumowego rzeczywistości coraz ostrzej i bezwzględniej przeciwstawia się bunt potęg irracjonalnych. Ruchy społeczne, wspierające się na tych irracjonalnych siłach, znajdują teoretyczne uzasadnienie w poglądach myślicieli, ekonomistów, socjologów i psychologów, uzasadniających rolę czynnika irracjonalnego w kształtowaniu się stosunków międzyludzkich.

Do myślicieli tych, poza najbardziej wpływowymi i znanymi myślicielami końca XIX wieku: filozofem francuskim Bergsonem i myślicielem niemieckim Nietzschem, należał Georges Sorel, pisarz francuski, toeretyk syndykalizmu. Sorel, opierając się na filozofii Bergsona, usiłował stworzyć teorię rewolucyjnego socjalizmu. Podnosił rolę i znaczenie w ruchach społecznych czynników irracjonalnych (mitów) — które jego zdaniem w większym stopniu aniżeli świadome idee wpływają na kształtowanie się stosunków międzyludzkich. Zdaniem Sorela istotnym czynnikiem kształtującym te stosunki jest gwałt dokonywany przez zorganizowaną rewolucyjną mniejszość nad niezorganizowaną i pozbawioną świadomości społecznej większością. Gloryfikuje więc Sorel przewroty rewolucyjne, wojny i walki klasowe, jako twórcze momenty dziejów ludzkości.

Do myślicieli tych należał również Ludwik Gumplowicz, wybitny socjolog polski, profesor uniwersytetu w Grazu, autor szeregu prac z zakresu socjologii, ekonomii i prawa. Gumplowicz przedstawia dzieje ludzkości jako szereg walk pomiędzy różnymi rasami. W myśl jego poglądów państwa powstawały na drodze gwałtu i ucisku klasowego przez podbój jednych ras dokonywany na drugich.

Wybitny wpływ na tworzące się faszystowskie teorie polityczno - społeczne wywarł Pareto Wilfredo — profesor ekonomii w Lozannie. Pareto stworzył podstawy filozoficzno-społeczne elitaryzmu, uzasadniając tezę, że w każdym społeczeństwie rządzi i musi rządzić elita, zastępowana przez inną elitę, gdy poprzednia straci zdolności niezbędne dla rządzącego ze-

społu, to znaczy zdolności posługiwania się bezwzględnymi metodami. W związku z tymi poglądami Pareto zapowiadał upadek rządzącej we współczesnym ustroju elity (burżuazji), widząc w propagowanym przez nią liberalizmie i humanitaryzmie znamiona jej upadku.

Ze starszych pisarzy wpływ na współczesnych wywierał Francuz Józef Gobineau, jeden z pierwszych teoretyków rasizmu, uzasadniając tezę, że różnicy ras odpowiada różnica wartości ludzi.

W istocie rzeczowy i wartościowy dorobek wiedzy o człowieku, osiągnięty na drodze metod badania przeniesionych z nauk przyrodniczych, wykrycie praw rządzących zarówno w przyrodzie, jak i w życiu człowieka, jednostki i zbiorowości, nie musiało i nie musi doprowadzać do tych wniosków i zastosowań do życia politycznego, które ze strzępów tej wiedzy wyprowadzili teoretycy i ideologowie nacjonalistycznego totalizmu, jak faszyzm i narodowy socjalizm niemiecki.

W większości wypadków teoretycy ci posługują się metodą rozumowo - doświadczalną dla wykrycia praw rządzących życiem, opuszczają jednak grunt tej metody, by na podstawie szczupłego materiału, zdobytego na drodze analitycznej, przejść do swobodnych syntez i niebezpiecznych uogólnień.

Z niedającego się zaprzeczyć faktu, że w duszy ludzkiej drzemią potężne, ślepe siły instynktów, wcale nie wynika, że należy te siły wyzwalać i podporządkowywać im rozwój stosunków międzyludzkich. Przeciwnie, świadomość, że siły te istnieją nakłada tym większy obowiązek krytycznego ustosunkowania się do pobudek działania, płynących z irracjonalnych źródeł i tym baczniejszego stosunku rozumowego do przejawów życia zbiorowego.

Oczywiście inne, wręcz odwrotne stanowisko zajęły te ruchy polityczne, które z wyzwolenia ślepych instynktów tłumu czerpały swoją siłę i możliwość pochwycenia w swoje ręce władzy. Stąd we wszystkich krajach, w których w mniejszym lub większym stopniu szerzyła się propaganda faszystowska, jesteśmy świadkami gwałtownej reakcji przeciwko racjonalizmowi, przeciwko dorobkowi humanizmu, wieku oświecenia, pozytywizmu. Jednocześnie z tego dorobku korzysta się w swoisty sposób, by podważyć prawdy uczuciowe, zasady i ideały moralne kultury chrześcijańskiej. Mamy więc tutaj do czynienia z nawrotem nie tyle do średniowiecza z jego wysiłkiem, aby przy pomocy dogmatów opanować w czło-

wieku ślepe instynkty, ile do prymitywnej pogańskiej prakultury ludów germańskich, obcej zarówno kulturze świata starożytnego, jak i chrześcijańskiej. Chaosowi, który pod wpływem tych czynników zapanował w życiu kulturalnym Europy, niestety nie umiał się skutecznie przeciwstawić ruch umysłowy kontynuujący tradycje i aspiracje humanizmu i zmierzający do opanowania rozumowego coraz bardziej komplikującej się rzeczywistości zjawisk życia zbiorowego, politycznego i gospodarczego. Zdradzony i porzucony przez mieszczaństwo, ten właściwy i twórczy nurt myśli ludzkiej odżyje w poglądzie na świat nowych klas społecznych — szerokich mas świata pracy, walczących o nowy, odpowiadający ich interesom układ stosunków gospodarczo - społecznych. Zanim ten nowy pogląd na świat zdobędzie sobie prawa obywatelstwa, zanim stoczy zwycięską walkę z dekadentyzmem i marazmem kultury mieszczańskiej, słabe tylko jego echo znajdzie wyraz w literaturze rewolucyjnej, zwanej także literaturą proletariacką.

KAZIMIERZ CZACHOWSKI

Ze wspomnień okupacyjnych

W pierwszych miesiącach po wrześniowej klęsce liczono na zwycięstwo naszych sprzymierzeńców zachodnich, a przede wszystkim na Francję. Nikt by wtedy nie uwierzył, że wojna potrwa długich lat kilka i że stosunki okupacyjne staną się tak potwornie ohydne. Nie zdawano sobie jeszcze sprawy, do czego zdolni są Niemcy i że, mimo cywilizacyjnych pozorów, tkwi w tym narodzie zwierzęcy barbarzyńca, wyzbyty z wszelkich ludzkich wartości, wykorzystujący tylko środki postępu kulturalnego dla swych zbrodniczych instynktów, z całym cynizmem przybierający godło rzekomego obrońcy i dobrodzieja Europy. Jeśli nikt rozsądny nie dał się złapać na lep hitlerowskiej propagandy, to przecież łudzono się, że przejściowy okres okupacji niemieckiej nie będzie gorszy, niż było to pod rządami Beselera. Bo nawet wobec Żydów początkowo zastosowali Niemcy metody jakże dalekie od wszystkich tych niegodziwości, jakie stopniowo rozwinęli w akcji wytępiania masowego. Niewiele sobie robiono z gęsto na murach rozlepianych rozporządzeń niemieckich, grożących karą śmierci za nie oddanie

byle sprzączki z wojskowego ekwipunku, czy też za spożycie jajka zniesionego przez kurę z własnego gospodarstwa. W najbardziej wybujałej wyobraźni nie mieściło się przypuszczenie, że gromadnie będą mordowani ludzie przygodnie wyłapywani w kawiarniach i na ulicach, choćby to byli tak zwani lojalni „obywatele", najposłuszniej przestrzegający przepisów okupacyjno - policyjnych, obciążeni tylko niezawinioną dobrowolnie winą polskości.

Należąc do szczuplejszego grona tych, co od pierwszego zetknięcia z najeźdźcą niemieckim zajęli postawę wewnętrznie nieprzejednaną i bezwzględnie nieufną, w tym pierwszym, „sielankowym" okresie rządów okupacyjnych w Krakowie, poza prowadzonymi nadal przygotowaniami do zamierzonych na przyszłość prac literackich, podjąłem okolicznościowe badania źródeł, w których spodziewałem się znaleźć jakiś klucz do wyrobienia sobie pojęcia o tym, co nazwać można duszą narodu niemieckiego. Traf zdarzył, że czytając „Krzyżaków" Sienkiewicza, znalazłem potwierdzenie życiowe przedstawionego w nich cynizmu obłudy krzyżackiej w znanych powszechnie okolicznościach, jakie towarzyszyły zbiorowemu uwięzieniu profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego. Bezpośrednio po tym nastąpiło aresztowanie i wywiezienie profesorów gimnazjalnych, których o danej godzinie zastano w zakładach szkolnych. Jaskrawe podobieństwo metod krzyżackich i hitlerowskich nie pozostawiało żadnych złudzeń. O charakterze zaś zaborczym megalomanii niemieckiej nie znalazłem nic bardziej przekonywającego od dedykacji w 2 wydaniu dzieła znakomitego skądinąd uczonego niemieckiego Dibeliusa o powieści angielskiej. W dedykacji tej Dibelius, jako były profesor Uniwersytetu Poznańskiego, wystąpił wyraźnie i stanowczo po stronie niemieckich „praw" do wielkopolskiej stolicy. Było to dla mnie tym bardziej znamienne, że wyszło spod pióra humanisty i anglisty. Stwierdziwszy nadto wycieczki antagonizmu niemiecko - polskiego w paru poważnych dziełach niemieckich historyków literatury, wydanych po roku 1920, umocniłem się w przekonaniu, że hitlerowska heca antypolska w prasie niemieckiej z okresu przedwojennego i z pierwszych lat wojennych nie była bynajmniej sztucznie inspirowana, lecz wynikała z żywiołowej nienawiści Niemców w stosunku do Polaków.

W dalszym ciągu najwięcej pouczającego materiału o duszy narodu niemieckiego przyniosło mi przeczytanie „Pieśni

o Nibelungach". Ten średniowieczny epos narodu niemieckiego, źródło natchnień Wagnera, którego uznać wypadnie za właściwego proroka hitleryzmu, jest bardzo typowym przejawem ideologii, pod której znakiem wyrobił się cały system nieludzkiego i amoralnego postępowania czcicieli swastyki wobec Żydów i Polaków. Filozoficzne uzasadnienie tego systemu dali Hegel i Fichte. W tym świetle rzekomy idealizm filozofii niemieckiej nabiera wyglądu zgoła ponurego a wręcz sprzecznego z przypisywanymi mu zasługami. Zważywszy nadto, że istotny rozwój nauki i literatury niemieckiej z doby przedhitlerowskiej wiele zawdzięczał uczonym i pisarzom pochodzenia żydowskiego, że do nich należał m. i. Marx oraz, że po ich wygnaniu z kraju przez Hitlera nauka i literatura w Niemczech utraciła swe znaczenie europejskie, znajdowało się aż wstrząsającą sumę przesłanek naukowo - poznawczych, świadczących, że Hitler jest tylko szczytowym wyrazem od dawna i głęboko zakorzenionych właściwości socjo - psychicznych narodu niemieckiego. Odnaleźć je można nawet u Goethego, powszechnie uchodzącego za europejskiego olimpijczyka. Przypominam wysiedlenie Filemona i Baucis przez Fausta w zakończeniu II części dramatu oraz metody wychowywania młodzieży w II części „Wilhelma Meistra". Natomiast krytykę, i to bardzo bezwzględną, niemieckiej brutalności, niegodziwości i podłości dał nie kto inny, lecz tak niesłusznie przyswojony sobie a bardzo powierzchownie pojmowany przez Hitlera — Nietzsche. Wystarczy tego, co Nietzsche o Niemcach jako narodzie napisał, aby wyrobić sobie o nich to właściwe pojęcie, które doświadczalnie nabyliśmy pod obuchem lat okupacyjnych. I znowu z zewnątrz najlepiej określił Niemców pacyfista z czasów wojny poprzedniej, Romain Rolland, w „Janie Krzysztofie": Niemców butnych w roli zwycięzców i pokornych w roli zwyciężonych, jakimi obecnie ich oglądamy.

Z pamięci przytaczam garść materiałów literackich, zebranych na ten temat w pierwszym roku wojennym. Spisywałem je wówczas, uzupełniając na gorąco materiałem doświadczalnym z bezpośrednich wrażeń i przeżyć społecznych. Niestety, w pewnej niebezpiecznej chwili kartki rękopiśmienne tych spostrzeżeń tak starannie ukryłem, że nie udało mi się ich dotąd odnaleźć. Natomiast wśród szpargałów, w których notowałem uwagi i rozmyślania przeważnie krytyczno - literackie, mam pod ręką dwa fragmenty z sierpnia roku 1940, które tutaj dosłownie przepisuję, wydaje mi się bowiem, że wyszedłszy

spod pióra człowieka, od dłuższego czasu, bo od roku 1920, nie biorącego czynego udziału w życiu politycznym i od tejże daty pozostającego poza stronnictwami politycznymi, mają one pewne nieobojętne akcenty, nadające im wartość dokumentu społecznego. Wartość tę upatruję jedynie w tym właśnie, że są one wyrazem politycznie „szarego", czyli bezpartyjnego Polaka.

Oto tekst pierwszej z tych notatek:

„Naród nie czuł odpowiedzialności za swój los. Wina rządu, który działał bez współdziałania ogółu. Wina społeczeństwa, które dało się odsunąć od współudziału w rządzie i zdało się na kierownictwo bez kontroli społecznej. Kwietyzm naszego społeczeństwa. Wyjątkiem Warszawa. Bo jednak tam było centrum rządu, czyli znowu błąd centralizacji. Moralna odpowiedzialność Rydza-Śmigłego wobec historii. Klęska wrześniowa 1939 roku nie ma sobie równej w całych naszych dziejach. Bo przecież była, a przynajmniej powinna była być armia zdolna do opierania się wrogom. Było, a przynajmniej powinnoby być dowództwo, świadome swych zadań i przygotowane do odpowiedzialnego działania. Brak odpowiedzialności bezpośredniej i tym razem odbił się fatalnie na naszych losach. Zastanowić się nad charakterem narodowym, nad naszym **laisser-faire**'yzmem. Konieczność wychowania społecznego w czynnym życiu politycznym".

Są to skróty myślowe, przeznaczone do szerszego rozwinięcia. Czytelnik łatwo je sobie dopełni. Nie idzie tu zresztą o pokusę traktatu politycznego, do którego autor nie czuje się powołany, lecz właśnie o sam fakt takiego a nie innego laickiego myślenia przeciętnie rozwiniętego Polaka. Zastrzeżenia tym potrzebniejsze wobec drugiej notatki z tych czasów, mającej charakter pewnego programu politycznego. Pomyślaną była ta notatka na własny użytek, bez jakichkolwiek zamiarów politycznej działalności, jedynie jako próba uświadomienia sobie osobistej postawy społecznej. Poprzedzają tę notatkę dwie zapiski z określonymi datami: „15.8. 1940. Mowa Franka ze zwrotem do tzw. inteligencji polskiej. 17.8. 1940. Zburzenie pomnika Mickiewicza. Symbol". (Szło tu oczywiście o porównanie tych dwóch bliskich w czasie oficjalnych aktów niemieckiego rządu gubernialnego). Po czym następuje ów szkic programu społeczno - politycznego.

„Ustrój demokratyczno - socjalistyczny. Zabezpieczenie przed dyktaturą. Zastąpienie parlamentaryzmu politycznego

przez izbę przedstawicieli zawodów najszerzej pojętych, ale z uprzywilejowaniem pracy w obu jej dziedzinach — fizycznej i umysłowej. Zapewnienie odrębnych warunków dla pracy twórczej. Praca jako podstawa i miernik stosunków ekonomicznych. Wychowanie estetyczne jako podstawa ładu moralnego. Ograniczenie uroszczeń zawodowego parlamentaryzmu przez niemożność bezpośredniej po sobie kadencji tych samych przedstawicieli. Ograniczenie biurokracji do istotnych potrzeb aparatu państwowego — najszersze zastąpienie jej czynnikami samorządowymi. Spółdzielczość jako typ życia gospodarczego. Współdziałanie jako typ życia społecznego. Wykluczenie z sejmu pracowników urzędniczych (biurowych, administracyjnych, państwowych). Dopuszczenie wyłącznie przedstawicieli pracy twórczej lub wytwórczej: robotnicy, rzemieślnicy, rolnicy, inżynierowie, nauczyciele, lekarze, uczeni, artyści, pisarze. Wolność myśli, nauki, literatury. Gwarancja poszanowania osobistej godności człowieka. Zniesienie kary śmierci i kary cielesnej (za nadużycia surowe kary). Bezpłatne nauczanie na wszystkich stopniach (na podstawie egzaminów wstępnych na wyższe uczelnie). Bezpłatne korzystanie z muzeów, teatrów, bibliotek, czytelń. Udostępnienie korzystania z bibliotek na wzór amerykański. Zniesienie dziedziczenia własności. Zachowanie własności indywidualnej, o ile jest ona warsztatem osobistej pracy lub zdobyta własną pracą dla osobistego użytku. Przejąć ją może spadkobierca, o ile jest jej pracownikiem. Zniesienie wszelkich procentów od obrotu pieniężnego. Zabezpieczenie utrzymania dzieci, chorych, kalek i starców. Zniesienie kategorii emerytów, gdyż każdy człowiek jednakowo korzysta w pomocy społecznej, gdy jest ona potrzebna. Ułatwienie rozwodów. Rozdział religii od państwa, z pozostawieniem wolności sumienia i wyznań religijnych. Zniesienie wszelkich stronnictw politycznych, zamiast których działają związki zawodowe, jako właściwe czynniki ruchu społecznego. Pełnia demokratyzacji".

Tak myślał o polskiej przyszłości laik polityczny w roku 1940. W takich rojeniach znajdował ulgę od ciążącego nacisku okupacyjnego i od ponurych z chwilą upadku Francji widoków dziejowych. Wiele z tych rojeń urzeczywistnia się w oswobodzonej Rzeczypospolitej. Niektóre w sposób nieco odmienny, może właściwszy, lecz z zachowaniem pokrewnego kierunku. Świadczy to bądź co bądź o związku naszego współczesnego ustroju z dążeniami powszechnej polskiej myśli

politycznej, jak się ona kształtowała w mózgu przeciętnie myślącego demokraty. W programie tym, spisanym dorywczo, uderza brak wzmianki o potrzebie reformy rolnej. Przeoczenie to stąd zapewne powstało, że autor, należąc w latach 1917 — 1920 do stronnictwa ludowego „Wyzwolenie" i biorąc wtedy udział w pracy politycznej powiatu miechowskiego, odsunął się później od bezpośredniego życia politycznego, zrażony zaprzepaszczeniem przez ludowców sprawy, której radykalne rozwiązanie w pierwszych latach drugiej niepodległości wpłynęłoby z pewnością na odmienny bieg dziejowy naszego państwa i narodu. Ten wewnętrzny uraz polityczny odbił się podświadomie na rozmyślaniach okupacyjnych w samotni ustronnego przedmieścia.

CZESŁAWA WOJEŃSKA

Knut Hamsun przed sądem...

Wiadomość o tym, że głośny pisarz norweski, Knut Hamsun stanął przed sądem, w własnej ojczyźnie oskarżony o sprzyjanie i popieranie ruchu hitlerowskiego, rozeszła się po świecie, budząc skomplikowane uczucia — zdziwienia, żalu, niedowierzania. Jest to jednak fakt niewątpliwy i — w dodatku — wcale nie tak dziwny, jakby się w pierwszej chwili mogło wydawać niejednemu.

Knut Hamsun, (niezależnie od tego, że jako artysta-twórca musi być wymieniony obok sławnych nazwisk literackich świata), stanął przed sądem i za sympatię swoją dla hitleryzmu poniesie słusznie i sprawiedliwie karę. Ale nie jest to jedyny sąd, przed którym stanie autor „Głodu". Przed innym sądem, przed sądem historii stanie ów artysta o wszechświatowej sławie, odznaczony nagrodą Nobla, nagrodą przyznawaną nie tylko autorom najlepszym, najbardziej znanym, ale tym z największych, których twórczość przyczynia się do pacyfikacji świata. Nie zapominajmy bowiem o tym, że literacka, międzynarodowa nagroda Nobla nazywa się także nagrodą pokojową, przyznawaną za szerzenie przez literaturę piękną tendencyj pacyfistycznych.

Jest więc rzeczą tym bardziej rażącą, jeżeli wyróżniony pokojową nagrodą Nobla artysta okazuje się zwolennikiem najbardziej w dziejach świata napastliwej, agresywnej, rozbójniczej teorii politycznej. I dlatego Knut Hamsun stanąć musi także przed sądem... historii.

Czy jednak dla badaczy współczesnych, i przyszłych historyków literatury będzie to rzeczą dziwną i zupełnie nieoczekiwaną? — Nie sądzę.

Możnaby nawet zaryzykować twierdzenie, że jest to konsekwentne zakończenie, wynikające z całożyciowej postawy wielkiego norweskiego autora w stosunku do otaczającej rzeczywistości. Że wynika z postawy, która była charakterystyczna nie tylko dla osoby dzisiejszego podsądnego, ale i dla całego kierunku literackiego, którego Knut Hamsun był wybitnym reprezentantem, więcej, jednym z istotnych założycieli i twórców.

Knut Hamsun należał do plejady artystów, którzy pod koniec XIX wieku wystąpili w bojowym rynsztunku na widownię artystyczną świata, jako reakcja przeciwko pozytywizmowi, realizmowi i naturalizmowi w literaturze i sztuce. Na sztandarze wypisali stare, romantyczne hasła — nienawiść do racjonalizmu, wiarę w wyższość uczucia i instynktów nad „niedoskonałym" rozumem ludzkim, tylko że zasady te doprowadzili do krańcowości, rozwijali z pasją i zacietrzewieniem.

Prąd literacki, którego jednym z twórców był Knut Hamsun, różne nosi miana w historii literatury, a w każdej z tych nazw kryje się już pewien osąd, pewna kwalifikacja.

W nazwie „neoromantyzm" podkreślone jest pokrewieństwo wewnętrzne tych dwu prądów, wyrażające się przede wszystkim w irracjonaliźmie, we wspólnych podstawach idealistycznej filozofii, w wybujałym indywidualizmie. Nazwa „dekadentyzm" określała ten prąd od strony raczej moralnej, podkreślając jego schyłkowy, rozkładowy charakter. „Modernizm" był nazwą określającą formę, daleką od realizmu okresu poprzedzającego, wrogą dążeniu do objektywizacji wizji artystycznej. widzącej, przeciwnie, w subjektywnej impresji twórcy właściwą drogę sztuki.

Z tych założeń literackich wypływał kult indywidualności, kult jednostki wyższej ponad otoczenie, przeciwstawianej zbiorowości, składającej się z istot przeciętnych, jednostki, która nie umie i nie pragnie się z tą zbiorowością porozumieć. Bohaterem literatury owych czasów była jednostka niezwykła, stająca poza moralnością ogółu, wyższa ponad uznane dla pozostałego społeczeństwa przepisy, zakazy i nakazy. Jako jedyne prawo i jedyną moralność „nadludzie" ci uznawali zasadę „Niebo gwiaździste nade mną, prawo moralne we mnie".

Już w tym punkcie łatwo dostrzec można nici pokrewieństwa, linie łączące ten pogląd umysłowy i literacki z ruchami faszystowskimi.

I jest to zupełnie naturalne. Te same warunki objektywne, te same stosunki ekonomiczno - społeczne, na których wyrósł jako nadbudówka psychiczna modernizm, w dalszym swym etapie, w momencie upadku i rozkładu panującego ustroju po pierwszej wojnie światowej, były podłożem, na którym zrodził się faszyzm. I to wspólne źródło wybiło na obu kierunkach jednakowy niezatarty stempel epoki. Upadający, kończący się świat kultury mieszczańskiej, zagrożony w swym stanie posiadania przez powstające do życia nowe siły i klasy społeczne, postanowił się bronić. Sukurs znalazł w gotowych formułach i filozofii, w sztuce i literaturze owych czasów. Znalazł sukurs w teorii nietscheańskiej „nadczłowieczeństwa", teorii „narodu panów", w kulcie silnej indywidualności, której instynkt, wyczucie więcej są warte niż rozum, prawo pisane, uznane zwyczaje.

Czyż nie przypomina to hitlerowskiej bandy „nadludzi" i ich postawy wobec rzeczywistości, ich stosunku do sprawiedliwości i prawa?

W życiorysie Hitlera, napisanym na podstawie dokumentów przez Heidena, mamy szereg scen jakby żywcem przeniesionych z modernistycznej powieści. Ten sam rozwichrzony, pseudo-artystyczny indywidualizm, egotyzm nieuznanego artysty, graniczący z nienormalnością. W życiorysie tym podany jest bardzo charakterystyczny, przełomowy moment kariery Hitlera, ktory może najmocniej uzmysławia pobratymstwo duchowe ruchu faszystowskiego z prądem umysłowym, którego jednym z współtwórców był Knut Hamsun. Niemiecki, modernistyczny zresztą dość mierny poeta, Erckmann był tym, który „wymyślił" Hitlera, który go niejako stworzył, nauczył pozy i gestów dla roli, jaką miał odegrać. Mówiąc po prostu zetknął się z nim w momencie, kiedy Hitler, zdemobilizowany po wojnie 1914 roku, wiódł żywot zdeklasowanego półinteligenta, błąkał się po przytułkach, przymierał głodem, włóczył po kawiarniach. W kawiarni po raz pierwszy usłyszał Erckman Hitlera, przemawiającego do byłych kolegów z wojska. Zrozumiał odrazu i uświadomił przyszłego przywódcę, że jest on kwintesencją współczesnej duszy Niemca, że nikt tak jak on nie uosabia ducha niemieckiego, nie wyraża uczuć przeciętnego ogółu, że demagogiczne, nacjonalistyczne i antysemickie

hasła, które głosi, nienawiść, którą szerzy, trafiają w samo sedno uczuć zawiedzionego i upokorzonego po przegranej wojnie światowej ogółu niemieckiego.

Oczywiście w hitleryzmie zasady modernizmu zostały mocno i zasadniczo zwulgaryzowane. Wpłynął na to i okres czasu, który doprowadził rozkład mieszczańskiej kultury, zaledwie rozpoczynający się czasu powstawania prądu literackiego modernizmu w końcu XIX wieku, do punktu kulminacyjnego i wpłynęła na tę wulgaryzację owa różnica, jaka dzieli dzieło sztuki, wyobraźni od rzeczywistości, od jej realnego wcielenia. Oczywiście, w modernizmie tkwiły zaledwie zalążki tego wszystkiego, co później w faszyzmie rozwinęło się w tak koszmarne, potworne kształty. Znamienne jednak i uderzające jest, że Knut Hamsun nie był bynajmniej wyjątkiem, i że z modernistów europejskich, z tych nielicznych, którzy dożyli naszych czasów, ogromna większość stanęła właśnie po tej stronie barykady co Hamsun. D'Annunzio, najwybitniejszy bodaj modernista włoski, był przecież jednym z twórców włoskiego faszyzmu, Hauptmann i Ewers w Niemczech przylgnęli mocno i trwale do reżimu hitlerowskiego.

Knut Hamsun więc, jako artysta i człowiek był w zgodzie sam ze sobą, konsekwentny w poglądach od początku do końca. Nieszczęściem tego wielkiego artysty jest, że dożył dni, kiedy bliskie mu teorie wcielono w życie i, że nawet wtedy ani rozum ani instynkt nie wskazał mu drogi odwrotu. Nieszczęściem jego i winą jest, że z żywotów bohaterów własnych powieści, jak porucznika Glana z powieści „Pan", czy Augusta Powsinogi — nie umiał wyciągnąć właściwej nauki. Że był na wzór i podobieństwo swych bohaterów powieściowych nie członkiem zbiorowości, w której żył, ale że przeciwstawiał się jej w dumie „nadczłowieka", dla którego nie istnieją sprawdziany społeczne, ani prawa moralne. I za to ponieść musi słuszną i sprawiedliwą karę z rąk współczesnych rodaków.

Sąd historii zaś, wydając nań wyrok, potępi wraz z nim całą szkołę filozoficzną, cały kierunek w sztuce i literaturze, który potrafił stworzyć rzeczy piękne nie na pożytek, a szkodę ludzkości. Wielki talent Hamsuna nie zasłużył się dobrze ani ojczyźnie jego, ani ludzkości. Tym gorzej więc, że ten wielki talent posiadał...

KAZIMIERZ BUDZYK

W sprawie uspołecznienia książki

Żyjemy w czasach, kiedy uspołecznienie gospodarki dobrami materialnymi i kulturalnymi stało się hasłem dnia. Jest to oczywiście związane z tworzeniem nowego ustroju, w którym działalność gospodarcza i kulturalna ma mieć lepsze możliwości rozwoju i bardziej sensowny charakter. Przekonanie to jest elementem wiary budowniczych nowego życia, która, jak każda rzecz ludzka, może podlegać takiej czy innej dyskusji. Są jednakże w pewnych sytuacjach życiowych konieczności, przed którymi nikt się uchylić nie może, jeśli chce przedłużyć swoje istnienie w momentach krytycznych i uratować pewne wartości na przyszłość. Gdy chodzi np. o taką wartość jak życie, tonący zawsze złapie przepływającą belkę, bez względu na to, czy jest to zwolennik Marksa, czy też wyznawca Chrystusa.

Taką właśnie zbawienną belką, jedyną szansą ratunku przed wykreśleniem nas z życia kulturalnego całego świata jest uspołecznienie książki.

Wojna, która dobiegła swego kresu, była kataklizmem, z którego gorzej od nas wyjść mogą tylko Niemcy. W każdym razie my sami wychodzimy z tego kataklizmu z pogruchotanymi kościami i tylko niesłychanej mocy biologicznej narodu będziemy mogli zawdzięczać, jeśli z gruzów i popiołów powstanie nowe, lepsze życie. Być może, wyjdziemy z tej próby ognia i krwi oczyszczeni, ale ubytek sił i katastrofalne zniszczenie na każdym odcinku musi być dla nas nakazem do podjęcia zespolonego wysiłku, gdyż jest to jedyna droga, po której będziemy mogli się zbliżyć do innych narodów, mniej od nas zniszczonych, więc też i lepszy start mających do nowego życia po wojnie.

Na odcinku kultury straty nasze są o wiele większe, niż gdziekolwiek indziej. Wprawdzie przez całą wytwórczość naszą przetoczył się jednako straszliwy huragan wojny, ale tylko zdobycze naszego życia kulturalnego podlegały prócz tego świadomej, przeszło pięcioletniej wyniszczającej akcji okupanta. Rolnictwo musiało egzystować, bo było Niemcom potrzebne; przemysł mógł się nawet częściowo rozwijać, bo musiał pracować na korzyść niemieckiej machiny wojennej — na-

tomiast nasze życie kulturalne nie tylko na nic nie mogło się przydać okupantowi, ale wprost stawało na drodze zarozumiałej bestii hitlerowskiej, która chciała zagarnąć tereny polskie, jako odwieczne niemieckie. Pamiątki naszej kultury przypominałyby światu, że tak nie jest, trzeba je więc zniszczyć, bo łatwo wtedy powiedzieć, że ich nigdy nie było. Idą więc z dymem księgozbiory rozmaitych organizacyj oświatowych, działających przed wojną, w kupy popiołów przemieniają się archiwa i muzea, przerabiane są na makulaturę całe biblioteki, zawierające bezcenne zabytki polskiej kultury, wreszcie tragiczny i najbardziej wstrząsający finał: całopalenie największej zbiornicy bezcennych skarbów — stolicy Polski, Warszawy.

Straty, jakie poniosła książka, są tym bardziej dotkliwe, że w przeważnej większości wypadków nic już ich nigdy odrobić nie zdoła. Gospodarkę materialną odbudujemy — z pewnością lepszą, niż była przedtym. Natomiast nic już nie odtworzy z popiołów spalonych bibliotek, archiwów, muzeów. Sytuacja, w jakiej znajduje się polska książka, zmusza do roztoczenia szczególnie pieczołowitej opieki nad resztkami, które szczęśliwie uniknęły zagłady. Ale nie tylko opieki. Nie jest to bowiem materiał martwy, który dość jest starannie konserwować. Pamiątki naszej kultury są nie tylko cennymi dokumentami, świadczącymi o ciągłości naszego życia, ale też stanowią punkt wyjścia dla twórczości naszej własnej i przyszłych pokoleń. Jest to zatem wspólne mienie nas wszystkich, które mamy obowiązek wzbogacić i przekazać następcom.

Współwłasność mienia kulturalnego ma oczywiście charakter nie materialny, lecz idealny. Niemniej jednak musi być ujęte w określone formy organizacyjne i musi obejmować całość, tym bardziej, że potworne zniszczenia w tym zakresie przetrzebiły zasoby bibliotek publicznych, więc nie można pozostawiać na boku księgozbiorów prywatnych i duchownych.

Trzy są zakresy, których sensowna organizacja może zapewnić pomyślny rozwój kulturalny narodu: książka oświatowa, naukowa i zabytkowa. Uspołecznienie książki w tych trzech zakresach ma za zadanie z jednej strony doprowadzić książkę oświatową do szerokich mas konsumentów dóbr kulturalnych, z drugiej zaś — umożliwić wszystkim twórcom kultury dotarcie do literatury naukowej i zabytków. Główny

ciężar wypełnienia obydwu tych zadań musi wziąć na swe barki Państwo, które jest zresztą najwyżej zorganizowaną formą życia społecznego narodu. Pomówmy o tych sprawach konkretnie.

1. KSIĄŻKA OŚWIATOWA

Jeśli książka oświatowa ma dotrzeć do wszystkich konsumentów dóbr kulturalnych, musi powstać odpowiednio zorganizowana sieć bibliotek publicznych: wojewódzkich, powiatowych i gminnych. Były jeszcze przed wojną pomysły, które ciężar założenia i prowadzenia tych bibliotek chciały przerzucić na barki samorządu terytorialnego. Już wtedy impreza ta wydawała się dość ryzykowna, bo obdarzała chłopa kulturą, ale równocześnie słono mu za to kazała płacić. Przy ówczesnej pauperyzacji wsi i drożyźnie książki mogło to dać rezultat dość opłakany. Zamiast przekonać chłopa do książki, osiągnęłoby się to, że on ją serdecznie znienawidzi. Weźmy teraz sytuację obecną. Wieś wyczerpana jest do ostatnich granic. Ci, co są na swych gospodarstwach dotychczasowch, nie mają ich nawet czym obsiać, ci zaś, co objęli gospodarstwa nowe, czy to dzięki przeprowadzeniu reformy rolnej, czy też z powodu przesiedlenia, pozbawieni są na ogół również inwentarza zarówno żywego jak i martwego. W takich warunkach przychodzić do chłopa z książką, któraby była nowym, dość dużym obciążeniem, to uprawiać na wsi propagandę wrogą dla książki i czytelnictwa. Zakładać bibloteki publiczne musi więc Państwo, samorząd może je tylko prowadzić i to przy stałej pomocy finansowej Państwa. Jakby się to przedstawiało konkretnie? Jak wiemy, dużo książek uległo zniszczeniu. Poza tym trwa dotąd 6-cioletnia przerwa w produkcji książki. Musi się więc liczyć wyłącznie na te książki, które są w posiadaniu prywatnym. Jedynym wyjściem z sytuacji to zorganizować skup książek, zakładając zbiornice wojewódzkie i powiatowe, któreby potem rozsyłały książki w teren. Gdyby się okazało, że tą drogą nie można uzyskać wystarczającej liczby książek, trzeba po prostu już pozyskane przydzielić do bibliotek szkolnych, które musiałyby spełniać również rolę bibliotek publicznych.

2. KSIĄŻKA NAUKOWA

Wszyscy wiemy, na jakie trudności napotykał przed wojną polski uczony, zanim dotarł do literatury interesującego go przedmiotu, zwłaszcza gdy miał na celu kompletność. Uspołecznienie księgozbiorów naukowych powinno te trudności zredukować do minimum. Biblioteki i zakłady naukowe powinny zaprowadzić rejestrację wszystkich księgozbiorów w swoim zakresie, zarówno publicznych jak prywatnych. Przez stworzenie odpowiednich kartotek łatwo będzie można dotrzeć do każdej książki naukowej, przy czym należy prowadzić tę rejestrację centralnie, ale w ramach każdej specjalności. Wszyscy uczeni chętnie włączą do sieci swe księgozbiory prywatne, jeśli za to otrzymają możność korzystania z zasobów znajdujących się w całej Polsce. Rola Państwa w tym zakresie — to organizowanie ośrodków rejestracyjnych i finansowanie publikacyj specjalnych katalogów centralnych, czy biuletynów przybytków, które będą miały także duże znaczenie informacyjne dla studenta i uczonego jako pomoc bibliograficzna.

3. KSIĄŻKA ZABYTKOWA

W zakres książek zabytkowych wchodzą zarówno stare druki i rękopisy jak pomniki starej kartografii. Żeby uspołecznić wszystkie ocalałe zasoby z tego zakresu, należy również przeprowadzić centralną rejestrację, powierzając jej wykonanie ekipom fachowców, któreby działały w ramach Wydziału Bibliotek przy Ministerstwie Oświaty, ale w oparciu o poszczególne biblioteki. Było anomalią naszego życia przed wojną, że duże księgozbiory, posiadające bogate stare zasoby książkowe i rękopiśmienne, często miały dotkliwe luki w organizacji działów zabytkowych. Rezultat był taki, że starsze zasoby naszych bibliotek były nieopracowane i nieudostępnione w całości. Dość powiedzieć, że nawet takie biblioteki jak Jagiellońska w Krakowie i Uniwersytecka w Warszawie od wielu lat nie posiadały wśród personelu nikogo, kto by opracowywał znajdujące się tam stare druki. Zalegały po magazynie zwały niby to dubletów, wśród których można było znaleźć wiele nieznanych unikatów. Pierwszym więc postulatem w zakresie uspołecznienia książki zabytkowej jest postaranie się o to, by zasobom bibliotecznym odpowiadał wszę-

dzie specjalny personel, przeznaczony do ich opracowania. Inaczej bowiem, bezcenne pamiątki naszej kultury staną się rzeczą martwą, przeznaczoną na zagładę czasu takich czy innych kataklizmów, których los nam, niestety, nie szczędzi.

Wobec ogromu spustoszenia, jakiemu uległy podczas obecnej wojny zasoby starych książek, postulat uspołecznienia zbiorów trzeba rozszerzyć na wszystkie ocalałe bibloteki zabytkowe, więc zarówno prywatne jak duchowne. Musi powstać ogólnopolska rejestracja centralna, która obejmie bezwarukowo wszystko, co zdołało ocaleć. Każda większa biblioteka powinna stać się ośrodkiem rejonowym, który by był odpowiedzialny za zabezpieczenie, konserwację, opracowanie i udostępnienie wszystkich zasobów na terenie danego rejonu. Powołane do życia centrale specjalistów powinny ogniskować u siebie prace wszystkich ośrodków bibliotecznych, wykonywane pod ich kontrolą i na podstawie jednolitych, opracowanych przez nie instrukcyj. Tą drogą powstaną centralne katalogi starych druków, rękopisów czy kartografii, służące wszystkim tym, dla których książka jest przedmiotem czy materiałem nauki.

Uwagi powyższe nie zostały wypowiedziane tak tylko, „sobie a muzom". Dziś, gdy stajemy do budowania nowego życia, sprawa organizacji pewnego odcinka kultury jest rzeczą dużej wagi i nie można jej odkładać na potem. Niech specjaliści opracują konkretne projekty, niech się odbędzie publiczna nad nimi dyskusja, niech wreszcie czynniki decydujące wydadzą odpowiednie postanowienia i w pełni zrozumienia dla sprawy oraz odpowiedzialności niech zapewnią skuteczne środki ich realizacji.

ZOFIA KOSSAK-SZCZUCKA

Szary, obozowy dzień

Bezpośrednio z apelu kolumny ruszają do pracy. Jedna jest przeznaczona do wywożenia śmieci z lagru, wracając próżnym wozem przyciągnęły cegły z rozbiórek, potrzebne do podwyższenia szosy. Druga będzie w polu kopać rowy.

Wozy używane w lagrze, są to ciężkie wielkokołowe furgony artyleryjskie. Gdy armia niemiecka przeszła całkowicie na motoryzację, zbędne wozy przekazano lagrom, gdzie stały się przekleństwem häftlingów. Są to bowiem chyba najcięższe pojazdy konne na świecie.

Śmiecie załadowano. Wóz rusza w drogę. Dwadzieścia kobiet przy dyszlu, osiem z jednej strony wozu, osiem z drugiej, cztery pchają z tyłu. Razem czterdzieści. Dyszlowe mają zarzucone na ukos przez ramię i piersi pasy, niby szleje. Boczne chwytają szprychy rękami i z wysiłkiem usiłują obrócić koło o parę stopni. Gdy im się to uda, przerzucają ręce na następną szprychę. Gest ich przypomina malowidła staroegipskie, na których przedstawiono prace niewolników, obracających nad Nilem koła wodne. Bez pomocy bocznych, dyszlowe nie ruszyłyby z miejsca. I tak szleje wrzynały im się w piersi, gdy podane na przód, ciągnęły rzężąc z wysiłku. Najlżejszą stosunkowo pracę miały pchające z tyłu, toteż zmieniały się co pewien czas. Wszystkim już pot lał się z czoła. Idącej przodem auzjerce było zimno, więc przynaglała do pośpiechu. Kroczący z tyłu post z psem, Ukrainiec, żartował grubiańsko i świstał batem. Na dworze nie rozwidniło się całkowicie. W szarej poświacie listopadowego poranka wóz i jego zaprzęg sunęły zwolna, jak gomon krzywdy i nędzy. Potykając się z wysiłku, kobiety myślały, że mają przed sobą

dwanaście godzin takiej pracy. Bogu dzięki przynajmniej, że nie pada. Deszcz był straszliwym wrogiem häftlingów, dlatego z takim niepokojem pytano dyżurnych powracających z ziółkami, jaka pogoda? Drzewna materia pasiaków nasiąkała wodą bardzo szybko, stawała się wtedy twarda i sztywna, schła bardzo powoli. W deszczowe dni pracownice wracały przemoczone do nitki, kładły się spać w mokrej odzieży, by ją ciepłem ciała wysuszyć — wstawały w wilgotnej, gdyż zabieg ten nie pomagał w zimnym baraku, — tyle, że człowiek trząsł się przez całą noc. W mokrym ubraniu stało się na apelu, w mokrym szło znów do pracy. Gdy jesienią lub wiosną słota trwała kilka dni, nie wysychało się wcale. Toteż piorunujące obustronne zapalenie płuc likwidujące paręset kobiet, znaczyło każdą „trzydniówkę”.

Ulewa, wichura, burze, śnieżyca, zawieja — nic z tych zjawisk atmosferycznych nie zwalniało od roboty. Jakakolwiek byłaby pogoda, kolumny wychodziły w pole. Jedynie, co zatrzymywało je w domu — to mgła. Mgła sprzyjająca ucieczkom, mgła nie pozwalająca straży mieć wszystkich więźniarek równocześnie na oku. Ilekroć podmokłą nizinę oświęcimską pokrył mleczny tuman mgły — zdarzało się to kilkanaście razy do roku — komanda zostawała na blokach. O, cóż była za radość!...

Rozpoczęte roboty melioracyjne oddalone były o parę kilometrów od lagru, przeto kolumna kopaczek obowiązana była iść prawie biegiem, by swoje quantum pracy zdążyć wykonać. Ze względu na oddalenie, towarzyszyło im dwóch postów z psami. Psy, wielkie, piękne wilczury, świetnie utrzymane i odżywione, prężne i puszyste, były specjalnie tresowane. Z właściwą sobie systematycznością Niemcy zdołali spaczyć i wykoleić nawet tak uczciwą i szczerą istotę jak psa. Biegnące obok postów wilczury wierzyły święcie, że häftling w pasiaku nie jest człowiekiem, że jest czymś gorszym od padliny. Pies, gdy spoglądał na Niemca w mundurze, miał swój normalny psi wyraz, czujny, uważny, życzliwy. Łasił się, machał ogonem, dopominał pieszczoty, zaglądał w oczy, by odgadnąć myśli. Co mi rozkażesz, mój panie?... Ten sam pies, spojrzawszy na häftlinga, kurczył mordę w trudnym do opisania wyrazie psiej pogardy i obrzydzenia. Psie oczy stawały się zimne, okrutne, lekceważące.

— Nie patrz na niego, bo cię ugryzie — ostrzegała starsza koleżanka świeżo przybyłą z kwarantanny...

— Ależ ja się do niego nie odzywam...
— Wystarczy, że patrzysz... One tego nie znoszą...
Jakoż pies warczał głucho, gotów rzucić się, gdyby pasiak prowokował go nadal spojrzeniem. Głosem i postawą wyrażał oburzenie, że takie padło, że taki gnój, coś równie nędznego, ośmiela się patrzeć na niego, niemieckiego psa!... Oglądał się na pana, biorąc go na świadka tej karygodnej zuchwałości. Aż piszczał z pragnienia, żeby pan poszczuciem upoważnił go do rzucenia się na tę obmierzłą hałastrę.
W czasie pracy auzjerka i posty nie mieli żadnej trudności z pilnowaniem kolumny. Czynił to za nich pies. Pies nie spuszczał z oka pracownic, zdawał sobie sprawę z ich liczby, jeżeli która bodaj na moment oddaliła się z jego pola widzenia, biegł za nią i warcząc, błyskając zębami zmuszał do szybkiego powrotu. Podobnie sygnalizował natychmiast obecność w pobliżu kogokolwiek obcego. Toteż nawiązanie jakiegoś zewnętrznego kontaktu było prawie niemożliwe.
Niemożliwą również była ucieczka. Wprawdzie mężczyźni uciekali często z pola. Przynajmniej kilka razy w miesiącu trójgębna syrena umieszczona na dachu „forny" — oznajmiała obu lagrom, że znowu ktoś uciekł. Na ten sygnał wszyscy i wszystkie kapo, auzjerki, anwajzerki obowiązane były ruszać z psami szukać zbiega.
Ucieczki te były na ogół udane. Sposób, w jaki zbiegowie oszukiwali czujność psów, pozostawał tajemnicą męskiego obozu. Wśród kobiet ucieczka zdarzyła się tylko raz.
Popędzana przez postów kolumna szła szybko. Okolica niegdyś ruchliwa, zaludniona, gęsto zabudowana, stała się obecnie pustą, płaską niziną, pozbawioną domów, drzew. Gdzieniegdzie tylko studnie stojące w szczerym polu znaczyły ślad, że była tu kiedyś zagroda. W oddali widać było wieżyczki postów okalające lagier niekończącym się rzędem.

Nagle po szeregach przebiegł dreszcz jak prąd. Chłopcy idą!!... Kolumna kobieca będzie mijać za chwilę idącą w przeciwnym kierunku kolumnę roboczą męską. Obie są dobrze strzeżone, posty nie dopuszczą, by zamieniono choć jedno słowo, niemniej spotkanie sprawia radość. Bo nic nie przeszkodzi wymianie spojrzeń, uśmiechów. Może i coś więcej, bo oto oczy starej kobiety obiegają rozpaczliwie szeregi męskie, szukając kogoś, nie znajdują, zatrzymują się błagalnie na spotkanej znajomej twarzy, dopytując się natarczywie. Tamten odpowiada znaczącym pochyleniem głowy w dół, ku ziemi...

— O Boże!... Jęk starej zwraca uwagę auzjerki. Każe przyśpieszyć kroku. Dziewczęta podciągają jeszcze śpiesznie pałcami uszy, na znak dobrej formy („uszy do góry"), chłopcy odpowiadają gestem prawej ręki, silnie zgiętej w łokciu i poziomo przyciśniętej do piersi. Ten gest oznacza: jest morowo, trzymamy się pierwszorzędnie!...

Już przeszli. Mimo to kobiety starają się stąpać prosto, raźnie, jakby patrzyły na nie jeszcze oczy „swoich chłopców". Ta sugestia trwa niedługo. Mężczyźni znikli za zakrętem. Więc twarze znów gasną, plecy się pochylają. Wraca uczucie głodu, zimna... Stara kobieta szlocha żałośnie.

— Nie żyje, nie żyje!... nie żyje!...

Towarzyszki usiłują ją pocieszyć. Przecież jeszcze nic pewnego. Tamten nie zrozumiał, albo co innego chciał wyrazić...

— O nie, zrozumiał, zrozumiał!... Ja wiem, Janek nie żyje!... — I słania się, zatacza z rozpaczy, aż auzjerka szturcha ją ze złością:

— Jak idziesz?! Trzymaj krok!.. Du, alte Zitrone!!

Kopanie rowów jest lżejsze niż ciągnienie wozu, jednak i ono nie łatwe. Z wierzchu ziemia jest zmarznięta, trzeba ją rąbać. Pod spodem podmokłe błoto. Zziębłe palce z trudem trzymają stylisko łopaty. Co gorsza, trzeba stać w błocie. Nogi przemakają i ogromnie marzną. Ej, gdyby to człowiek był po dawnemu, po wolnościowemu sprawny i odkarmiony i odpowiednio ubrany, to by tę robotę spełniał śpiewający, w obecnych warunkach jednak południe zastaje kobiety już doszczętne wyczerpane.

„Essenkolonna" przyciąga z lagru zupę w beczce umieszczonej na wozie. Z daleka już znajomy, charakterystyczny zapach obwieszcza, że dziś jak wczoraj, jak przedwczoraj, jak jutro, pojutrze, znowu jest ta sama nieśmiertelna brukiew. Przez drogę wystygła i zakrzepła, tracąc jedyną swą dodatnią cechę: temperaturę. Auzjerka i posty wyciągają z kieszeni ciepłych płaszczy termosy i chleb z wędliną. Jak dużo! Dzielą się chlebem i mięsem z psami. Häftlingi odwracają się, by nie patrzeć na to.

Zanim godzina przewidziana na odpoczynek obiadowy minie, siedzą skulone na zimnej, twardej ziemi, przytulone do siebie jak można najciaśniej. Patrząc na krajobraz sztucznie odmieniony, niepodobny do normalnego polskiego krajobrazu, myślą, jak to może być, żeby nikt na świecie nie interesował

się tym, co się tutaj dzieje. Żeby wolno było bezkarnie dręczyć i mordować tyle tysięcy ludzi i nikt przeciw temu nie protestuje, nie grozi prześladowcom; nie usiłuje czynnie przeszkodzić, nie walczy o poprawę doli skazańców!... Czy dalecy, możni, wolni, nie wiedzą?! Czy nie dolatuje ich wieść o tutejszej mordowni?.. Lub też wiedzą, ale nie wierzą? Gdzie jest nowy Jan z Maty, co naglony miłością Boga i bliźniego, posłuszny rozkazowi z nieba, otrzymanemu w czasie odprawianej Mszy Św., założył Zakon Św. Trójcy od wykupu niewolników i w dziele tym nie dał się zatrzymać żadnym trudnościom?... Gdzie druh Jana, Feliks Walezy, z królewskiej krwi, równie jak Jan dręczony myślą o cierpieniach bliźnich?... Gdzie nowy Franciszek z Assyżu, nowy Wincenty à Paulo?... Pogańscy właściciele galer nie ustępowali Niemcom w okrucieństwach i sadyzmie. Turcy nie pozwalali Zachodowi mieszać się do swoich spraw, jednakże to nie zrażało ludzi ogarniętych pragnieniem niesienia pomocy innym. Praca ich jakże była owocna i skuteczna... Bo sposób zawsze się znajdzie, byle była ta chęć, gorąca, przemożna...

Dziś serca ludzkie ostygły. Prócz osobiście zainteresowanych, kogóż sprawa Oświęcimia obchodzi? Atut polityczny do wygrania na konferencji pokojowej, — nic więcej...

Po takich myślach jest jeszcze ciężej i ciemniej. Zresztą godziny popołudniowe są zawsze trudniejsze do przetrzymania niż ranne. Dłużą się rozpaczliwie. Na koniec, gdy mrok już gęstnieje, auzjerka daje hasło do odwrotu. Prostują się z trudem obolałe grzbiety, zgrabiałymi rękami trzymając koszlawe łopaty, häftlingi wloką się ku obozowi.

Po drodze mijają, lub mijane są przez inne wracające komanda. Niektóre ciągną za sobą jednego lub parę trupów koleżanek, które zmarły na polu przy pracy. O, to się często zdarza. Cugengi po przyjeździe nie wiedziały, co znaczą brzemiona wleczone po ziemi przez wracające kolumny, — teraz już wiedzą, dobrze wiedzą. To nie karpina, nie rosochate gałęzie, jak im się wtedy zdawało, lecz ciało ludzkie, nagie, gdyż pasiak trzeba zdjąć natychmiast, zanim zwłoki zesztywnieją. Dwie koleżanki trzymają trupa za pięty i ciągną, tors i głowa suną po szosie. Dlatego tak często zmarłe, leżące na wozie, mają tył czaszki zbity, jak gdyby zciosany.

Ten przykry sposób transportu nie jest wynikiem obojętności, lub braku serca koleżanek zmarłej. Po prostu, nie mają sił dociągnąć ciała inaczej. Jeżeli są wśród nich wystarczająco

mocne, chętnie i zbożnie kładą ciało na nosiłki. Wprawdzie nosiłki są krótkie, ręce i nogi zmarłej zwieszają się w dół. Gdy przed bramą orkiestra wychodzi naprzeciw wracającym, grając swe skoczne kawałki, robotnice idą w takt, a ręce i nogi trupa podrygują wtedy również wesoło do taktu. Wkraczająca w ten sposób do lagru kolumna, była jednym z charakterystycznych obrazów Oświęcimia.

Jeszcze apel i nareszcie blok, nareszcie prycza. Kawałek chleba z odrobiną margaryny. Ciepłe ziółka trącące kamforą. Towarzyszki pracujące przy obsłudze bloku opowiadają o przeżyciach dnia.

...Nie macie pojęcia co się dzisiaj działo!... Blokowa była wściekła, bo na siódmej sztubie w łóżku brakło deski i siennik wybrzuszył się trochę od dołu. Sztubowa nie zauważyła, ale ta żmija wszystko dopatrzy. Deskę kobiety spaliły pewnie w nocy, żeby ręce pogrzać albo szmaty wysuszyć... Awantura była o to niesłychana. Zrzuciła na ziemię sienniki, koce, kazała liczyć deski, jak gdyby nie można było tego sprawdzić od dołu, bez zrzucania sienników. Na bloku robi się kurz, wszędzie wióry, bałagan... Co gorsza, pokazało się, że w kilku łóżkach brakuje po desce. Sądny dzień, zapowiedziała, że po apelu będziemy klęczeć...

— My też?... (ile przerażenia w głosie!).

— Naturalnie, wy też, ale się nie bój, bo na razie zapomniała. W chwili największego piekła przybiega lauferka, że dziś przyjeżdża jakiś wysoki „bezuch" z Berlina i będzie oglądał bloki... A tu u nas wszystko powywracane!... Babę ogarnął szał, ale i strach obleciał. Sama słała z nami łóżka byle prędzej, byle prędzej!... Nie poszłyśmy wcale po zupę, nikt nie jadł, tylko porządkowałyśmy jak wściekłe... Urobiłyśmy się strasznie, upadałyśmy na nosy... Bo równocześnie łóżka i szorowanie tych przeklętych cegieł i mycie chodnika... Zdawało się, że już wszystko skończone, a tu nowa awantura... W jednej sztubie pajęczynka wisiała wysoko pod dachem u belki... No!...

— Wyobrażam sobie...

— Nie możesz sobie wyobrazić, bo jeszcze nic podobnego nie było... Bezuch miał być bardzo ważny, a oni, jak wiesz, na nic innego nie zważają, tylko na pajęczyny... Aufzjerki też nigdy nie spojrzą, czy miski pomyte, czy w piecu napalone, tylko się po belkach rozglądają, czy gdzie pajęczyna nie wisi...

— I co dalej?...

— Dostało się nam wszystkim jak rzadko. Krysi aż krew poszła z nosa i z ust. Pokapała nam chodnik, musiałyśmy znowu myć. Oberwała za to dziewczynina dodatkowo w kark... Jak śmiała pokapać!... A bezuch wcale nie przyszedł...

— Nie przyjechał?...

— Przyjechał podobno, ale był tylko na fornie. Hessler zameldował, że wszystko w porządku i pokazał książki. To im wystarczyło.

— Toście też użyły!... A i my... Okropnie jestem zmęczona... Moja droga, czy nie wzięłaś za dużo koca, bo ja go mam bardzo mało?...

— Nie, tylko ten jest węższy...

— Jakto!?... To nie nasz koc?... Zamieniłyście?!...

— Wszystkie są pozamieniane. Chyba mało która ma ten sam...

— O Boże!... Właśnie podleczyłam się z krecy i znów ją dostanę!... Jak mogłas?!...

— Trudno, kochanie. Myślisz, że mnie jest przyjemnie? Ostatnio pozbyłam się wszy i też ich na pewno dostaniemy... Ale inaczej nie było sposobu... Baba zwaliła wszystkie koce na kupę, a potem w tym pośpiechu, nie można było przecież dobierać... Chciałam nieznacznie na bok odsunąć nasz koc, ale jak mnie huknęła...

— Znowu krece!... Znowu wszy!... To straszne!!...

— To lagier, moja pani... Dobranoc...

STANISŁAW KRZYŻEWSKI

List do młodego powstańca z AK

KOCHANY PRZYJACIELU!

Tuż w przeddzień Powstania, kiedy miasto było podobne do beczki prochu, a dłonie aż drżały z niecierpliwości za bronią — znalazłeś się w szeregach AK, w momencie kiedy mój stosunek do jej przywódców był wyraźnie krytyczny i pełen zastrzeżeń. To było tłem naszego dziwnego nieporozumienia, choć wiedziałem, że wstąpiłeś tak samo do AK, jak byś był wstąpił do AL czy BCH. Tobie przecie nie szło o nazwę jeno o CZYN.

Powiedziałem Ci wówczas, że spodziewany wybuch powstania uważam za przedwczesny, że, co gorsza, będzie ono wynikiem li tylko politycznych pobudek i że w tym rozwoju rzeczy stanie się raczej straszliwą awanturą o skutkach nie dających się przewidzieć, niż wyzwoleniem. Mówiłem dalej, że wciągnięto Cię do akcji bez uświadomienia politycznego, wiedząc, że TOBIE jest jeszcze wszystko jedno pod czyim rozkazem będziesz walczył, byleby to był rozkaz uderzenia na znienawidzonego wroga. Pokazałem Ci również mapę z nakreślonym na niej języczkiem, jakim Czerwona Armia podchodziła ku Warszawie z południowego wschodu — języczkiem, mogącym być w każdej chwili odciętym. Pokazałem Ci wreszcie idące od tygodnia na Wschód Tygrysy i pociągi pancerne, mówiąc, że ci, którzy dziś czy jutro dadzą hasło do powstania — to albo lekkomyślni i nieudolni stratedzy, albo polityczni bankruci.

Niespokojny o Twoje życie, o życie wszystkich młodych zapaleńców Warszawy — i o Warszawę, począłem wyśmiewać Twoją naiwność i niecierpliwość młodzieńczą, Twój entuzjazm dający się przykuć do każdego łańcucha, Twoją bezkrytyczną wiarę we wszystko, co zasłyszysz od ludzi z tak czy inaczej zabarwionej konspiracji.

Obrażony, zarzuciłeś mi, że nie jestem dość dobrym... patriotą. (Jakby nimi byli ci, którzy tak lekkomyślnie wiedli Cię w śmierć, a miasto w nieuchronną zagładę!).

Ciężko mi było na duchu i smutno — tym smutniej, że nie miałem ani woli, ani prawa zakrzyknąć: „Nie chodź! Wstrzymaj się!"

Nazajutrz przybyłeś się pożegnać. Z kieszeni spodni wydobyłeś furażerkę z biało-czerwonym znaczkiem. Dech mi zaparło wzruszenie, gdy ją ujrzałem na Twej głowie. Wydało mi się na mgnienie, że słyszę nad całym miastem zwycięskie łopotanie biało-czerwonej flagi, głoszącej oswobodzenie, a wrogowi zemstę i klęskę, że koniec niewoli, że wolność, wolność...

Dostrzegłeś natychmiast moje uniesienie, przekreślające wczorajszą przykrą rozmowę, uniesienie i podobny Twemu zapał, który w pierwszych dniach walki stał się pojednaniem dla wszystkich partyj, ugrupowań i warstw. Z radosną dumą w spojrzeniu wydobyłeś z drugiej kieszeni broń; stary, pogięty u rękojeści pistolet.

— A kule? — zapytałem otrzeźwiony, patrząc z rozpaczą na Twoją broń, ów nędzny, pogięty pistolet — pistolet wzbu-

dzający pogardę i lęk zrodzony z nagle wzmagającej się niepewności i zgasłej wiary.

— Kule zdobędę na Niemcach! — oświadczyłeś z westchnieniem, które było wyrazem Twojej tęsknoty do bohaterskich czynów.

— Idioto! — wrzasnąłem. — Idioto! Jesteś bardziej samobójcą niż bohaterem!

I rozstaliśmy się w jakimś bezrozumnym zaciętym gniewie.

Słyszałem potem, że biłeś się dzielnie na Woli, że razem z innymi przedarłeś się szczęśliwie do Śródmieścia, tocząc bój na Wareckiej, że broniłeś wylotów na Brackiej, na Kruczej, na Hożej...

Z każdym dniem beznadziejnej walki rosło w Tobie — w Tobie, młodziutki, osiemnastoletni żołnierzu — rozgoryczenie i złość i często wracała ci na pamięć nasza przedpowstaniowa rozmowa, a w miarę jak rozwijała się najstraszniejsza z naszych tragedyj, uczyłeś się rozumieć i poznawać, co w sprawach Ojczyzny jest dobre, a co złe.

Wśród dymów i gruzu rozbitego miasta, pośród najcięższych rozczarowań, zwątpienia i rozpaczy dano Ci rozkaz, abyś się oddał w niemiecką niewolę. Ze szczytu marzeń o zwycięstwie i zemście strącono Cię na dno upokorzeń, prześladowań i męki, oddając w łaskę i niełaskę okrutnego wroga, na którego kazano Ci uderzyć w źle obliczonej chwili.

I zamknięto Cię w kręgu kolczastych drutów, żebyś tęsknił.

Jeśli żyjesz jeszcze — siedzisz tam do dziś i tęsknisz nie tylko za domem, za Warszawą, za nami — tęsknisz za wszystkim, co Ci się tutaj należy, co jest najlepsze, bo Twoje — bo polskie!

A oto znajdują się tacy, którzy mówią Ci: „Jedź w świat! Nie wracaj do Polski! Nie wracaj!"

Nie wierz im! Nie słuchaj! Wracaj!

Czekamy wszyscy na Ciebie! Ty jesteś dla nas bohaterem, jesteś tym, który walczył o wolność, o Warszawę, o Polskę, jesteś tym, na kim opieramy przyszłość i rozwój Państwa i Narodu! Nie słuchaj tych, którzy uczynić chcą z Ciebie najemnika u obcych, którzy, wyzyskując Twoją niespokojność młodzieńczą, rzucają Cię w świat — w niebezpieczną awanturę. A pamiętaj, że nie wolno Ci pracować w kopalniach, w fabrykach, w portach u obcych, kiedy ziemia Twoja potrzebuje Twych

rąk. Pamiętaj, że nie wolno Ci zmarnować młodych lat na zgubnej włóczędze po świecie! Miałeś przecież jakieś ambicje, chciałeś zostać technikiem, inżynierem czy nawet — nie pomnę już — lekarzem. A tylko tu, na własnej ziemi zdołasz zrealizować zdrowe aspiracje i dążenia, tylko tutaj jest Twoja przyszłość, wszystkie możliwości i wszystkie prawa. Jeśli trwasz w zdrowych zamiarach — wracaj do kraju, gdzie Jerzyk jest już szoferem, Zygmunt idzie na Politechnikę, Zdzich do Szkoły Morskiej a Hela do Muzycznej, Henryk zostaje radio- czy elektrotechnikiem, a Zocha obrała sobie prawo. Wszyscy Cię pozdrawiają serdecznie, Ty zaś miej na uwadze to, że może przyjdzie Ci kiedyś przed nimi się wstydzić, jeśli pójdziesz w szeroki świat po to, żeby w nim zostać... niczym. To jedno!

Drugim powodem, dla którego musisz powrócić jest to, że tęsknimy za Tobą i czekamy Twego powrotu z dnia na dzień. Twój ojciec po dawnemu pracuje w warsztatach kolejowych, Zarębski — jak zwykle w rzeźni, a pan Feliks otworzył zakład fryzjerski w Olsztynie i wiedzie mu się nieźle. Matka Twoja co dzień wychodzi pod Główny Dworzec i pyta wracających z okropnej Rzeszy: „Czyście gdzieś nie widzieli mojego syna? Czy któryś z was go nie spotkał? Nie wiecie kiedy on wróci?..."

A Warszawa jest po dawnemu kochana. Gruzy z ulic uprzątnięto i ruch na nich panuje; u zbiegu Alej i Marszałkowskiej nasila się z każdym dniem i w pewnych godzinach jest tak gorączkowy, jak przed wojną. Ludzie wciąż pędzą to w jedną, to w drugą stronę. Zgiełk, krzyk i gwar. Rano i wieczorem maszerują brygady robocze z wesołym śpiewem. Niektóre dzielnice mają już światło i wodę, niektóre nawet tramwaje. Most Poniatowskiego w remoncie, więc odgłosy i huki idą stamtąd aż strach. Przed wiaduktem zielenią się trawniki i ocalałe drzewa, a dalej ta sama perspektywa błękitu i złota. Wieczorem zapalają latarnie, znowu podobne swym długim szeregiem do rozwieszonego świetlistego różańca. Wisła jak zawsze przybiera i opada, ukazując piaszczyste łachy, a na nich plażowiczów regulujących kierunek ciała, w miarę jak słońce przenosi się z Pragi na Warszawę. Aleje... te nigdy nie przestaną być miejscem niedzielnych spacerów młodzieży; teraz już bezpiecznych, nie przerywanych dzikim polowaniem na ludzi ani nagłymi strzałami. Jest pewność, że wyszedłszy na miasto — wrócisz spokojnie do domu. Jest przyjemnie, wesoło. Jest jeszcze trudno a nawet i ciężko — bo zniszczenie ogólne, bo brak tego i tamtego, bo niedawno zaczęliśmy pracować, bo dopiero

nawiązujemy stosunki gospodarcze, handlowe; ale jest z każdym dniem lepiej, a cudowne jest to, że nie znamy lęku, że nad miastem unosi się piosenka polskiego żołnierza, że po polsku żyjemy.

Porzuć zatem myśl o bezrozumnej wędrówce po świecie i wracaj do domu pracować i cieszyć się razem z nami. Wzywa Cię rodzina, przyjaciele, wzywa Cię Polska cała!

Wracaj!

Przeczytaj mój list Józkowi, Antoniemu i Mietkowi — przeczytaj wszystkim, którzy są z Tobą i powiedz, że pisze to

Twój prawdziwy przyjaciel.

JERZY BRZĘCZKOWSKI

Nocny gość

Malinowski właśnie wrócił z działki. Rzeźko, solidnie zadźwięczały rydel i grabie, ustawiane w kącie przy łazience. Mył ręce twarde, ubłocone, pachnące wiatrem, ziemią, wiosną. Zmęczenie zdrowe, pewne siebie, swej celowości i użyteczności — chłopskie zmęczenie pracą — ściekało z rąk razem ze strugami wody. Z kuchni dolatywał zadomowiony, syty zapach podsmażanych na oleju kartofli z cebulą. Malinowski poczuł się, jak już od dawna się nie czuł, spokojnie i dobrze. Za oknem rozlegał się śmiech bawiących się na podwórzu dzieci dozorczyni. Szewc kuł donośnie w kopyto, wyśpiewując na całe gardło wciąż tę samą strofkę o „bzach pachnących całą noc".

Obtarł ręce, przygładził wilgotną dłonią siwiejące kosmyki włosów na skroni, krzyknął wesoło żonie, że jest głodny jak wilk. Stanął jeszcze w oknie, gdzie tężał różowy zmierzch, z papierosem. Na czerwonych dachówkach małych domków Żoliborza — z których każdy wyglądał jak żeglujący w wieczorną ciszę okręcik — kładły się odblaski czerwonego słońca, właśnie jak na żaglach. Prosto strzelały błękitne dymy. Nad daleką Wisłą ołowiano-srebrzysty zmrok gęstniał w spokój nocy. Czwarty rok wojny — dalekiej i jakby już dziwnie obcej. Tu blisko — działka pachnąca wyrobioną ziemią, razowcem. I dom żeglujący wraz z innymi do pewnej przystani niezakłóconego snu. Malinowski wyciągnął rękę w chłodne powietrze nocy

i jakby pogłaskał dłonią wypukłe, krzepkie kształty buraków, kartofli, dyń — błogosławieństwa ziemi.

Ciężkie, głodne, chłodne z zamarzającą wodą w kuble dwie pierwsze zimy wojny; jakiś absurdalny, nieumiejętny, „inteligencki" handel — jak wszyscy — na rogach przewianych mroźnym śniegiem ulic, w wynajętym kramiku, z dowozem kolejkami podmiejskimi zdobytych na wsi produktów; praca żony w fabryce konserw, jej spuchnięte, czerwone, zreumatyzmowane ręce i bóle krzyża od dziewięciogodzinnego pochylania się nad kadzią do płukania buraków.

Minęło. Wspomina się, jak zamieć śnieżną. Dziś posadka — no, tak, popychle magistrackie za 300 złotych — ale praca przy biurku w ogrzanym pokoju. Deputacik. Mocny, pewny „ausweis" z „wroną": można się poruszać śmiało po mieście, przy rewizji okazać: „pożyteczny obywatel". Można też nie chodzić do biura: „sabotaż" — moralnie rozgrzeszone niedbalstwo. Odsunął się od błękitnego już zupełnie okna, przekreślił go iskrą odrzuconego papierosa i zawadził po ciemku o bibliotekę. Książki... Nie, nie ma czasu. Nie czyta. Dawne, takie kiedyś istotne, przedwojenne — takie prawdziwe życie — zamknięte wraz z książkami. Jutro sadzi od świtu fasolę. Porobi dołki na pomidory.

— Chodź już na obiad! — głos żony też jak wieczór spokojny.

...Wieczór, — myśli Malinowski. — To mój wieczór; ja już niczego nie chcę, i teraz, i po wojnie...

Zasiadł przy stole. Przesuwały się w bliskim polu widzenia ręce żony nie takie czerwone i biedne, jak jeszcze przed rokiem: pracowała teraz w spółdzielni w kasie. — Już tak nie marznie w zimie, — myśli Malinowski z czułością. — 9 godzin przy basenie w zimnej wodzie! — otrząsnął się.

— Masz co nowego dzisiaj? — zapytała znacząco Malinowska.

Zawahał się. — Wiesz, już nie przynoszę. Było podobno parę wsyp. I ja, tego... nie dopytuję się.

Odczuła pewne zawstydzenie w głosie męża.

— Nie to, żebym się bał — podchwycił jej spojrzenie. — Tylko, czy to warto? Bez nas i tak się dzieje. O paierek narażać spokój. Bez nas i tak się skończy — — —

Nie patrzał w oczy żony. Przemilczała. — Obiecano mi sadzonki najwcześniejszych pomidorów, — zażył uspokajającego antidotum.

Gdzieś niezbyt daleko szarpnęła salwa. Nerwowy, warkliwy zgrzyt „rozpylacza" przebił błękitną ciszę okna, załopotał echem, jak spłoszony w nocy kruk.

— Znów w ghecie — nasłuchiwała Malinowska. — Słyszałeś co o powstaniu?

— Żydowskim? E-et, czyżby? To przecież beznadziejne, bez... — odpędzał ruchami dłoni niepokój — bezcelowe — dokończył i już uspokojony nakładał drugą porcję podsmażanych kartofli. — Żydzi nie są Don Kiszotami, jak my — — —

— Jak my? — z nutką ironii spytała Malinowska.

— No, obecnie jesteśmy, może tego, trzeźwiejsi — zirytował się nagle. — Dosyć już krwi! — stuknął łyżką w talerz.— Te egzekucje, te... te — — —.

Stęknęła ziemia od dwóch dalekich granatów. Za echem wciąż jeszcze łopocącym pogonił znów rechot rozpylaczy. W podwórku zacichły dzieci. Szewc przerwał nieskończony refren o „pachnących bzach". Cisza napięła się. Coś złego przywarowało tuż za błękitnymi, wiosennymi oknami. Nagle przestały być błękitne: szaro-brunatna czerwień pożogi przechyliła się przez najbliższe dachy i zajrzała z bliska, milcząco.

— Pali się w ghecie — skonstatowała Malinowska.

Malinowski cicho położył łyżkę na talerzu.

— Nas to nic nie obchodzi! — powiedział szorstko. Starał się bardzo pewnymi ruchami osadzić zsuwające się krzywo binokle na nosie. Starał się zapalić niedrżącą ręką papierosa. Dygotała mu zapalniczka bladym, żółtym płomyczkiem na tle coraz czerwieńszego nieba, kołysanego wzdechami salw i trzaskami granatów.

— Każdy wystrzał to może być czyjaś śmierć — szepnęła Malinowska, cała w oknie. — A nas to nic nie obchodzi...

Wstał, osadził już mocno binokle.

— Stwardnieliśmy, tak. Życie ma swoje prawa. Tak! Nie można go zawiesić na kołku na 4 lata. — Demonstracyjnie, brutalnie szczękał ogrodową konewką. — Jutro od rana mam pracę. Idę spać! — krzyknął groźnie, chociaż mu nie przeczyła. Zwrócił się wobec tego do okna: — Idę spać! — powtórzył głośniej, na złość jakby tym nieśpiącym za czerwoną łuną. Malinowska zmywała talerze.

Kończył się cichy, pracowity dzień Malinowskich, jeden z wielu nanizanych na drucik kalendarza. Zaciemniająca zasłona w ramie okna odcięła zgorączkowaną noc od spokojnej sypialni.

Malinowski przewracał się z boku na bok, nie mogąc usnąć. Dziś, mijając Bonifraterską, widział przyczajone niemieckie CKM-y pod murami ghetta. Przygięte do ziemi zielone i granatowe mundury. Tuż obok na placu Krasińskich bujała się zresztą beztrosko karuzela i tłum wyrostków rozpierał się na drewnianych konikach.

— Tak oto życie się kręci — szepnął w poduszkę z ironią, — i moje też na jakimś drewnianym koniku. Ma swoje prawa — karuzeli.

Coraz większa gorycz wzbierała w gardle fizycznym uczuciem mdłości.

— Więc co? Miałem może przeskoczyć przez mur do tamtych? — uniósł się na łokciu na poduszce. — Czy rzucić się z motyką na żandarmów?

— ...Sadzić pomidory — podpowiedziała ironia.

Wtem pod powiekami uwypuklił się obraz tak jaskrawy, jakby go ujrzał na jawie ponownie: pod ścianą na Franciszkańskiej stał tyłem do jezdni Żyd w brudnym, rozdartym do bosych pięt chałacie, aż mu było widać dygocące kalesony o rozwiązanych przy kostkach tasiemkach. Twarzy wspartej czołem o mur nie dostrzegł: plecy Żyda drgały drobnym nieustannym dreszczem.

Wtłaczał gwałtownie obraz w głąb podświadomości, skąd niespodziewanie wychynął — wypływał jak korek i tkwił boleśnie zadrą pod powiekami.

...Plecy Żyda drżały równomiernym dygotem. Czoło nieruchomo oparte o mur. Blade bezkrwiste dłonie, jakby już nieboszczyka, podtrzymywały opadające gacie. Wokół była pustka — nawet straży, nawet gawiedzi: sam jeden człowiek przy murze i jego śmierć.

— To mnie nic nie obchodzi! — obracał się Malinowski na drugi bok, lecz tam też była ściana i przy niej wsparty twarzą o mur człowiek.

Strzał znowu, czy stuk? Powtórzył się kilkakrotnie. Malinowski zbudzony z przedsennego marzenia, w które był w końcu zapadł, skoczył na równe nogi. Rewizja? Z dawna nie miał w domu nic nielegalnego. Jeszcze nie całkiem przytomny podszedł do drzwi. Na pytanie — „Kto tam?" — wahający się głos wyrzekł — „Swój". Otworzył z klucza, naświetlając jednocześnie elektryczną latarką. W ciemnym korytarzu, w kręgu światła, tuż pod murem stała jakaś wysoka sylwetka w długim chałacie do ziemi. Malinowski odskoczył na środek przed-

pokoju. Ręka ze światłem przejechała przy tym od góry do dołu po całej postaci przybysza. Pierwszy wstrząs minął: chałat okazał się po prostu długim płaszczem, ginącym od spodu w ciemności. Następny podrzut latarki wydobył podniesiony kołnierz i nasunięty na oczy kapelusz.

— Pan do kogo? — spytał z drżeniem w głosie.

— Do ciebie, wpuść prędko! — szepnął gość i gwałtownie wszedł do przedpokoju.

Malinowski wciąż nie poznawał, aczkolwiek głos — — —

— Z kim mam przyjemność? — nasrożył się.

— Przyjemność? — przeciągnął przybysz. — No, wątpliwa! Nussberg.

Ręka Malinowskiego powoli opadła w dół.

Głos z ciemności przejmująco wnikliwy:

— Michał! Tak, to ja. Sprawa jasna. Przyjmiesz?

— Skąd? — wybełkotał Malinowski.

— Wiadomo: stamtąd. Tylko do rana. Mam swoje drogi, ujdę. Ale nocować na ulicy nie mogę, rozumiesz?

Słów istotnie nie używał zbytecznych. Malinowski zrozumiał aż nadto, do końca. Stary, dawny kolega jeszcze z uniwerku. Prawie przyjaźń I.. Żyd z ghetta.

Cisza aż bolesna huczała w uszach.

Trzęsące się kalesony pod murem zamajaczyły w ciemności.

— No, to pójdę. Trudno! — przerwał pierwszy Nussberg. Malinowski nie podnosił ręki ze światłem. Tak, w ciemności, może mu będzie lżej odmówić. Słowa nie wydobyły się.

Nussberg zawrócił ku drzwiom i wtedy Malinowski znów dojrzał tył jego płaszcza długiego poza kręgiem światła — do ziemi.

— Zostaniesz u nas! — jakby to nie on sam powiedział, a ktoś inny.

Na progu sypialni, w nocnym czepku, z lampą w ręku stanęła Malinowska. Również poznała gościa. Drobnym dreszczykiem drżała jej lampa, rzucając drgające światłocienie na usta, które też zdawały się drżeć. Nussberg skłonił się niezgrabnie, i tak w śmiesznym, przydługim ukłonie zamarł. — Proszę! — Malinowska odsunęła się od drzwi. Nussberg wszedł, wciąż pochylony w ukłonie, do ciemnej sypialni. Za nim z lampą szli małżonkowie. Znów stanęli.

— Głodnyś? — spytał Malinowski.

— Tak — odparł tępo Nussberg. — Nie! — dorzucił natychmiast.

— Coś się znajdzie — zakrzątnęła się z widoczną ulgą Malinowska.

Gdy powróciła po dłuższej chwili z kubkiem kawy i talerzem kartofli, zastała męża i gościa siedzących milcząco naprzeciw siebie na fotelach. Nussberg nie zdjął kapelusza. Zadomowiła światłem i strawą. Rzucała uprzejme słowa: to był nurt wyżłobiony wieloletnią gościnnością. Nussberg poddał się. Rozpiął płaszcz. Był schludnie, przyzwoicie ubrany. Gdy za moment już bez płaszcza i kapelusza usiadł przy stoliku, Malinowski mimowoli zerknął w dół ku nogawkom przybłoconych nieco spodni Nussberga i złapał się na tym odruchu.

Wszyscy omijali najważniejszy temat.

— Byłbym doszedł do Marymontu, gdzie mamy swoich ludzi — naruszył raptem subtelną sztuczność Nussberg, — ale były przeszkody.

Malinowskiego zirytował nietakt: — Wyśpij się, kładź się teraz.

Zaścielono dlań otomanę. Malinowska zabrała swoją pościel do kuchni po zdawkowym „dobranoc". Długim spojrzeniem pożegnała męża. Ten poprawił nerwowym ruchem spadające binokle. Zmierzwione poduszką siwe włosy sterczały mu z boku i z całą swoją niezdecydowaną, speszoną miną wyglądał żałośnie. Nussberg, zdjąwszy tylko wierzchnie ubranie rozciągnął się na pościeli i przymknął oczy. Teraz dopiero widac było, jak jest wymizerowany. Garbaty semicki nos zaostrzył mu się, jak u nieboszczyka. Przyprószone siwizną skronie zapadły, napełnione cieniem.

— Źle się czujesz? — zagabnął już cieplej Malinowski.

— Źle — odrzekł krótko Nussberg. — Serce.

I uśmiechając się przepraszająco:

— Tak łatwo mi zemrzeć, i nie mogę.

— No, no! — zaoponował Malinowski.

— Ba, teraz bym ci tego nie chciał zrobić: miałbyś ładny kłopot z martwym Żydem w domu! Gorszy niż z żywym. Musiałbyś mnie wynosić częściami, albo kawałkami spalić w piecyku — — —

Malinowski wyobraził siebie w tej czynności i spocił się cały. Nussberg położył mu lekko rękę na kolanie:

— Boisz się?

— Boję się, — przyznał po prostu Malinowski.

— A pomimo to nie zamknąłeś mi drzwi przed nosem? I boisz się znowu teraz, a nie wypędzasz mnie. Dlaczego? „Noblesse oblige"?

— Nie wiem, — odpowiedział tak samo Malinowski.

— A może ty jesteś filosemitą? — brzęknął nutką ironii matowy głos Nussberga.

— Nie, — odrzekł Malinowski. — Nie zastanawiałem się nad tym nigdy. Ale groziła ci dzisiaj śmierć.

— A tobie jutro.

Malinowski milczał. Miał zmęczony wyraz. Pogłębiły mu się bruzdy wokół uwłosionych ust. Uśmiechnął się nagle głęboko i cicho:

— Widzisz, Józefie. W tym może być bardziej prosta rzecz. Po co szukać? Poprostu ludzkość.

Po chudej twarzy Nussberga błądził także nikły uśmiech, aż utonął w głębokim cieniu pod przymkniętymi oczami.

— Ludzkość, Michale? Obawiam się, że to jest fikcja stworzona w bardzo pokojowych czasach. Tyś coś przegapił, Michale. Może 5 lat — a może jakieś wieki. Teraz jest znowu — dżunglą. Istnieje ponoć jeszcze jakaś wspólnota narodowa. Chociaż nie bardzo w nią wierzę: jesteś mi bliższy w tej chwili od moich współbraci, którzy z karabinami czuwają pod murami ghetta. Ja nie umiałbym, widzisz, trzymać karabinu w ręku. Jak i ty. Uciekłem. Nie nadaję się do zabijania. Nikogo. Rozumiesz, nikogo! Czy ty myślisz, że... powinienem?

Uniósł się gwałtownie na tapczanie, lecz w tejże chwili opadł znowu na wznak i przycisnął rękę do lewego boku. — Serce... — szepnął.

Malinowski załamał ręce:

— Oszałamiasz mnie Józefie. Ja nie wiem. Ja też przecież nie potrafiłem. Może my obaj jesteśmy pospolitymi tchórzami. A może tylko takiego gatunku... ludźmi?

Nussberg nie odpowiedział. Usnął natychmiast, leżąc na wznak bez ruchu z wyciągniętymi wzdłuż sztywnego ciała rękami. Malinowski pochylił się nad nim; równy, nieco rzężący oddech śpiącego uspokoił go: — Biedaczysko! — Wlazł do swego łoża też zbytnio się nie rozbierając. Absolutna cisza nocy dzwoniła w uszach. Spoza kuchennych drzwi sączyła się struga światła: żona jeszcze czuwa. — Co w tym za problem? —

myślał Malinowski tępo i wolno. — Nocuje u mnie przyjaciel, oto wszystko. Nie, nie wszystko: jest Żydem. I w tym groźba śmierci trojga ludzi. Gdzież tu ludzkość? Wszystko jest zwierzęce. Tak, zwierzęce. Dżungla. Ale ja nie znam praw dżungli; znałem kiedyś prawa ludzkie. Tak dawno... pięć lat temu.

Zmierzył po raz pierwszy obłędny dystans: na jednym brzegu takie jasne, proste — te właśnie „ludzkie" prawdy, na drugim — dygocące kalesony Żyda pod murem i cofający się w cień, jak zwierzę Nussberg w kręgu światła ślepej latarki.

Czyjeś miarowe kroki zadudniły na chodniku; echo, powtarzając je w pustej uliczce, uwielokrotniło. Patrol. Malinowski w bieliźnie przyskoczył do okna: żołnierskie twarde kroki mijały dom — zsuwał się z serca ciężar — wtem stanęły. Naraz zaskrzypiała furtka. Kroki miękko przygłuchły na trawniku i poczęły wchodzić po schodach. Malinowski jednym susem znalazł się przy tapczanie i targnął Nussberga za ramię. Śpiący usiadł od razu. Snać nawykowa od tylu lat czujność nie usnęła w nim zupełnie.

— Rewizja? Co, rewizja? — pytał szeptem.

Malinowski miotał się w ciemności bezradnie po pokoju.

— Może nie, nie wiem. Na wszelki wypadek: dokąd? Pod tapczan.

Nussberg zaświecił na moment latarkę. Padł krąg światła na drzwi szerokiej szafy. — Tam! — wskazał palcem. Już był w marynarce. Spodnie trzymał pod pachą. Otworzyli razem. Nussberg wcisnął się między ubrania, jakby był dwuwymiarowym cieniem. Malinowski przymknął, przekręcił klucz. We drzwiach kuchennych stanęła Malinowska z lampą.

Oboje nasłuchiwali z wyciągniętymi naprzód szyjami, stojąc niewiadomo dlaczego na czubkach palców. — Jak jej śmiesznie drżą łydki, czy i mnie też? — pomyślał ni w pięć ni w dziewięć Malinowski. Kroki tymczasem wchodziły wyżej na następne nad Malinowskimi piętro, słychać było wyraźnie wrzaskliwe niemieckie przekleństwa. Załomotały drzwi pod mocnymi pięściami. Czyjś głos certował się chwilę pod gradem wyzwisk, wreszcie klasnął zamek.

— U Paciorkowskich rewizja! — szepnęła stojąca bliżej drzwi Malinowska. Przywarła do klamki skronią.

— Jeśli na upatrzonego, z listy, to do nas mogą nie wejść— odszepnął Malinowski. Oczy ich jednocześnie pobiegły ku sza-

fie i również jednocześnie zatrzymały się na zaścielonej otomanie.

— Zwiń pościel, nie powinno być śladów, — wziął głęboki wdech Malinowski i raptem poczuł się zimno, bez drżenia rąk spokojnym. Pomógł żonie narzucić jej własną pościel z kuchenki. — Kładź się, ty śpisz!

Obejrzał jeszcze raz uważnie pokój, podszedł do szafy:

— Siedz tam, Józefie, póki nie zawołam. Na górze rewizja; — powiedział dobitnie, przykładając usta do dziurki od klucza. Odpowiedzi nie było.

Teraz usiadł na łóżku i wziął gazetę. Nawet odczytał tytuł komunikatów wojennych. Sufit dudnił pod ciężkimi buciorami żołnierzy, ale poza tym żaden głos nie dochodził. Nagle jeden ostry krzyk kobiecy już w klatce schodowej.

— Wychodzą! — skojarzyła pierwsza Malinowska. — Musieli wziąć chłopca. — Zaczęła szeptać w poduszkę „Pod Twoją Obronę".

Szli wolno: niewątpliwie kogoś mieli wśród siebie. Stopnie schodów skrzypiały. Na platformie zakrętu zatrzymali się. Malinowski wstał i podszedł pewnym krokiem ku drzwiom, gotów otworzyć na pierwszy stuk.

Ale kroki poszły niżej, skrzypiąc i zawadzając o schodki, aż zaszeleściły po żwirze podwórka.

— Minęło, — tak samo obojętnie stwierdził Malinowski. Oparł się o ścianę, ciężko dyszał. — Minęło — powtórzył, — jutro znowu będzie dzień, i słońce. — Miękkie nogi ugięły się. Przysiadł pode drzwiami w kucki. Tłukło się nieznośnie serce, lepki pot na całej twarzy — starł wierzchem dłoni.

— Wstań Michale! — lekko dotknęła ramienia żona. Czy długo tak głupio siedział? — Wstał posłusznie. Podparli się nawzajem ramionami. Światło lampy z sypialni odrzuciło ich cień na ścianę: ludzi trzymających się kurczowo na brzegu przepaści.

— A Nussberg? Jeszcze tam w szafie? — przypomniała Malinowska.

— E-et! — machnął ręką, — musiał słyszeć wszystko, drzwi cienkie.

Ociężale dowlókł się do szafy i przekręcił klucz. Naraz otwarły się obie połówki i jak tłumok bezwładnie runął im pod nogi trup Nussberga.

WANDA MELCER

Wyspa szczęścia

II.

Każda wiadomość o uwięzionym mężu odejmowała Jance na parę dni energię. Masa cierpienia, na które nie widziała ratunku ziębiła jej plecy, chłód dochodził serca, ręce były jak sparaliżowane. Póki tak latała, zabiegała, zdawało jej się, że sprawa się posuwa, że się coś właściwego odbywa, i to ją odprężało — ale każda obiektywna wiadomość o jego stanie, czy choćby istnieniu tam była jak uderzenie. Zdawało jej się, że za każdym razem na nowo go jej odbiorą.

Stahl ślimaczył, może i naprawdę nie mógł nic zrobić, wykręcał się teraz od jej wizyt, nigdy go nie mogła zastać, zawsze miał coś pilnego do załatwienia na mieście. Chodziła więc po różnych podejrzanych osobnikach, czasem jej coś obiecywano, żądano pieniędzy za każdą wiadomość, dawała te pieniądze, pieniądze znikały, nie przychodziły żadne wiadomości.

— Czyż nie ma na nich kary — myślała — czyż nie ma końca?

Nie nadchodził koniec ani kara, tygodnie mijały, potem mijały miesiące. Ani się opatrzyła, jak okazało się, że Rysiek siedzi już cztery miesiące, ale jeszcze nie traciła nadziei. I nagle jednego piątku nie przyjęto na Krochmalnej paczki. Nieprzytomna pobiegła do Juli, Jula miała zawsze najświeższe wiadomości. Przyjęła ją twarzą spokojną, nawet rozradowaną.

— Wieźli ich wozem, rozumiesz, zwyczajnym, chłopskim wozem. Konwój był tak mały, że udało im się uciec.

Straciła oddech.

— Uciekli!

— Ja na twoim miejscu siedziałaby bym poprostu w domu i czekała, aż mąż się zjawi albo przyśle kogoś z wiadomością, gdzie masz się z nim spotkać. Ale teraz musisz podwójnie uważać na siebie, teraz już napewno będą cię śledzić. Albo wiesz co? Nocuj u mnie, a w mieszkaniu siedź tylko za dnia.

— O nie, wiadomość przyjdzie napewno wtedy, kiedy będę u ciebie, nikt się nie domyśli, przegapię!

Jak na skrzydłach pobiegła do domu, fruwała, uniosła się nad Wilczą i Mokotowską, Natolińską pożarła jednym odde-

chem. I znów minęły dwa dni, te chyba najdłuższe. Nie mogła dłużej czekać, pobiegła do Marii. Maria zdziwiła się bardzo.

— Co ty mówisz, uciekli! Nic o tym nie słyszałam.

Zadzwoniła zaraz do komórki więźniarskiej, żadnego transportu słomy nie było w ostatnich dniach, nikt o niczym nie słyszał.

— To nie może być prawda. Kto ci mówił?

— Jula.

Maria uniosła bezbarwne brwi, które jednak nie były o tyle bezbarwne, żeby nie było widać, jak je unosiła — i powtórzyła ostrożnie:

— Nic nie słyszałam.

— Ale nie przyjęli paczki!

— O, wiem, przedwczoraj były jakieś wielkie przesunięcia, może go gdzieś odtransportowano, a może znów badają, może jest na Szucha.

— Czy nie wywozili?

— Tak — wyznała wreszcie Maria. — Kilkudziesięciu przedwczoraj wywieźli.

W Jance stanęło serce.

— Kogo? Masz listę?

— Jeszcze nie, czekam na nią. Weronka miała przynieść, niewiem, czemu się spóźnia. Poczekaj trochę, zjedz ze mną obiad, napewno się jej doczekasz.

Ale Janka nie mogła czekać, to nie był czas na czekanie. Powiedziała, że wróci, i znów biegła do Juli. Jula przyjęła ją entuzjastycznie, jej duże oczy były niebieskie i czyste, jak niebo, sama prawda, sama otwartość.

— Jula, kto tobie mówił o tej ucieczce?

— Och, ty wiesz, ja mam tyle intuicji! Umówiłam się ze Znanieckim, że da mi zaraz znać, chciałam wiadomości. No powiedz sama, żebyś się umówiła o jakiś specjalny znak, ale taki, no taki, o którym nikt nie wie, którego nikt nie może się domyśleć, i nagle dostajesz wiadomość, i zamiast podpisu jest ten znak — to cobyś pomyślała?

— A o tym wozie?

— Ależ dwa takie wozy poszły wczoraj w kierunku Lublina! Każdy by połączył te dwa fakty, no nie? Mówię ci, nie odezwał się dziś, to wieczorem, a najdalej jutro rano będziesz miała wiadomość.

Piły herbatę z liści poziomek, Jula dała do niej po łyżeczce prawdziwego cukru. O, jak zawsze ciepło u tej Juli, jaka

szczęśliwa, ma wszystkich swoich przy sobie, i męża, i brata, i chłopców! Poprostu można by o niej powiedzieć, że jest jak grzyb, jak taka ładna, biała pieczareczka, która nigdy nie rośnie sama, tylko całą ładną, białą familią. I jak oni to robią, przecież i major i Konrad to zupełnie jeszcze młodzi ludzie. Cóż, major niema czterdziestu lat, a Konrad wogóle dzieciak, konspirator, psiakrew, z mlekiem pod nosem! A dumny, a chwali się, że zna całą górę, że z tym czy z owym był na wódce! No, niech go tam. Pozmieniali nazwiska, rzadko nocują w domu, ale są koło tej kobiety, istnieją, może ich dotykać, karmić ich, może im słać łóżka!

Janka siada przy termonie na stołeczku i potrzy w czerwony węgiel, który jest o tyle zajmujący, że się ciągle zmienia zależnie od układu i stopnia nagrzania rozżarzonych cząstek, które się nierównomiernie palą. Gdyby teraz mogła oprzeć głowę o czyjeś kolana, byłaby bardzo szczęśliwa. Pocóż się trzeba wyrywać z tego ciepła, z tej serdeczności, z tego zaufania?

— Nie łaź, dokąd?

A właśnie Wacio wchodzi do pokoju.

— Mamma, obiad! — mówi, akcentując silnie ostatnie zgłoski — pójdź, płyniemy do stołu w nawie pięknie głobionej! Pani zostaje? Pani zna Odysseę?

— Przestań — błaga matka — uszy więdną i opadają!

— Mówię staranną staropolszczyzną.

— Co? — spytała zaskoczona Janka.

— O-dys-se-ę. Ćwierci barana dopiekają się oto na rożnach, pilnie kręconych przez sługi.

O, gdyby tak można zostać!

— Ojciec jest?

— Major pochylił oszedziałą głowę nad papierami sztabowymi, a jego drgające nozdrza chciwie wciągają zapach baraniny. Toby był heksametr! — i zaśpiewał: — osiwiały ojciec twój...

— Ależ pan major nie...

— Daj pokój, nie zważaj na niego, że też jeszcze nie przywykłaś!

Gdyby tak zostać? Bo tak właśnie można zostać nie u siebie, u kogoś. U siebie jest zawsze coś pilnego do zrobienia, tylko innych uważamy zawsze za źródło spokoju, nie widzimy ich przemian, ich sińce nas nie bolą. Wchodzimy do czyjegoś mieszkania, rozglądamy się, w piecu napalone, lam-

pa się świeci, stół nakryty, dwie albo trzy osoby siedzą przy tym stole — i myślimy: o, jak tu ciepło, jak tu przyjaźnie, jak im tu dobrze! Bo oni tak trwają zawsze przy tym stole, pod tą lampą i obok tego pieca, a my precz, na wichurę, w niespodziankę!

— Czego się wstrząsasz? Zimno ci? Poczekaj, dołożę łopatkę!

— Śmierć mi w oczy zajrzała, tak się mówi, prawda? Ach ty Juleczko, Juleczko!

— No co, starucha, no co?

I zaraz potem, kiedy wróciła do Marii, dowiedziała się, że przedwczoraj Ryszard został wywieziony do Oświęcimia.

Maria się bała, że zacznie krzyczeć, że zemdleje, że dostanie spazmów, nieznacznie przysunęła karafkę z wodą, zaokrąglała ramię, otwierała usta, żeby wytłumaczyć, wyperswadować. Nic z tego wszystkiego nie nastąpiło. Nikt, ktoby patrzał na Jankę, nie domyślił by się, że właśnie przed chwilą dostała taką wiadomość. Maria, zawiedziona, powiedziała niezręcznie:

— Przecież i stamtąd wracają, będziemy się dalej starać.

Janka milczała chwilę.

— Ja wiem.

— Co mówisz?

Powtórzyła, bo to widocznie był szept:

— Ja wiem.

I zaraz się pożegnała. Skończone, myślała, skończone, on już nie wróci. Będę tylko mogła raz w miesiącu przesłać mu pół kilo słoniny, którą Niemcy zjedzą. Skończone.

Tydzień przeleżała w łóżku, odwiedzano ją, nie jadła. Sama go wysłałam — wróciła dawna śpiewka — ściągnęłam z łóżka, powiedziałam, że późno, że trzeba wstać. Zapomniała swoich dawnych słów, przekręcała je, męczyła się, że nie dobrze pamięta, budziła się nocą, żeby je sobie przypomnieć. Czy powiedziała „trzeba wstawać”, czy napewno tak powiedziała? A Ryszard: „zaraz wstaję”. Potem: „zaraz wrócę” — to były ostatnie słowa, jakie od niego usłyszała. Ale skłamał, nie wrócił.

Zemszczę się — pomyślała — i to wróciło jej siły. Największe zaufanie miała do Marii, poszła do niej zaraz, prosiła o stałą pracę. Od pojutrza — powiedziała Maria.

Był maj. Janka wyszła wcześniej z domu i weszła do parku, usiadła tam, gdzie jest sztuczny wodospad z ułożonych kamiennych brył, i wygięty mostek i wierzba. Zrobiło się po deszczach tak zielono, że aż dech zapierało. Więc mimo wszystko był maj! I Janka pomyślała, że ma się przygotować na śmierć, że w tym całym dookolnym świecie jej właśnie ma zabraknąć, a świat będzie sobie kwitł i pachniał, jak dotąd. Tak, to wszystko nie było takie proste. Rozejrzała się i pomyślała: muszę to wszystko zapamiętać, chcę ten obraz zabrać ze sobą do grobu.

Spóźniony słowik śpiewał na wierzbie, był tak zajęty śpiewem, że jej nie zauważył. Poruszał w tę i tamtą stronę ogonkiem, jak na sprężynie, przelatywał z gałązki na gałązkę, był to rodzaj baletu. Znów podskoczył, poruszył w dwie strony ogonem, otworzył dziób tak delikatny, że słońce prześwietlało go różowo, jak pewien gatunek muszli — i wykonał koloraturową frazę muzyczną, pełną ozdobników, biegników i perlistych gam.

Wstała i podeszła bliżej, ciągnął ją poprostu tym głosem. Znieruchomiał, bo właśnie rozpoczął drugą frazę, nie zauważył jej, opłynięty całkowicie niebiańską harmonią, którą z siebie kądzielił, owijał się w swój śpiew, jak w kokon. Zamilkł, wskoczył o dwie gałązki wyżej i rozśpiewał się w trzeciej strofie, otwierając różany, muszlowo przeświecający dziób.

O, była to straszna walka! W pierwszej chwili Janka pomyślała z goryczą: więc taka jestem podła, więc śmierć urealnia mi się dopiero wtedy, kiedy mnie coś zagraża, wszystko co spotkało Ryszarda, nie było widać dość na serio tylko dlatego, że spotkało jego, a nie mnie! Dopiero kiedy ja się mam poświęcić, kiedy ja się mam narazić, boję się i żegnam się ze światem!

Podniosła głowę, zapatrzona w śpiewaka. O, była ta straszna walka. Bo teraz dopiero, w miarę, jak słońce posuwało się coraz wyżej, rozszalał się dookoła park. Groził, błagał, namawiał do tchórzowstwa i zdrady, straszył. Obiegał ją dokoła jak tygrys, z wywalonym, zielonym ozorem, czaił się i znów rzucał naprzód, po bokach bił się długim, zielonym ogonem, podskakiwał, chciał pożreć.

Patrz — mówił, miauczał, ryczał — patrz, czego się wyrzekasz! Nic nie ma poza tym innego, ta melodia, to światło — jeśli go się wyrzekniesz, nic ci nie zostanie, za grobem wszystko się kończy!

Piał, miauczał, ryczał, oblizywał ciepłym, chropawym, zielonym jęzorem, bił się po długich bokach zielonym ogonem. O, była to straszna walka! Kiedy Janka spojrzała na zegarek, dochodziła jedenasta i dawno odleciał niedopilnowany słowik. Wstała z ławki zupełnie uspokojona. Może to śmiesznie — pomyślała — ale ja już umarłam. Umarłam ze swoją wolą, zgodziłam się na własną śmierć. Wobec tego ogrodu, wobec tej wierzby, wobec tego śpiewającego słowika — zgodziłam się na własną śmierć.

MARIA MAJEWSKA

EROTYK

Glazura nieba zmierzchem pisana
Poróżowiała, a potem zbladła.
Cisza wieczorem pomalowana
O zapomnianych szepce widziadłach

— Gdzie jesteś zmroku przemijający
Ustokrotniony dolą wiosenną
Gdzie noc gorąca — dzień śpiewający
Oddane myślom w milczące lenno...

Czy to był zamiar — czy tylko projekt,
A może tylko kontur pragnienia...
— Byliśmy bardzo młodzi oboje
I jaśmin konał w naszych westchnieniach...

I kwiaty mdlały z niecierpliwości,
I kołowała wiosenna bieda —
— Co zrobić, żeby wiosnę uprościć?
— Co zrobić, żeby wiośnie się nie dać?

Może poczekać, a może odejść —
I niechby było jeszcze wieczorniej —
— — A smutek czekał już za ogrodem
Cicho — tęczowo — mądrze — pokornie.

STANISŁAW PŁOSKI (STANISŁAWSKI)

Stanisław Baczyński

Dnia 27 lipca 1939 roku, w przededniu wybuchu wojny, zmarł w Warszawie po ciężkiej, długotrwałej chorobie wybitny krytyk literacki i publicysta — Stanisław Baczyński, jeden z najwybitniejszych współpracowników naszego pisma. Zmarł w pełni sił twórczych, czego najlepszym dowodem jest ostatnia jego praca pt. „Rzeczywistość i fikcja", stanowiąca punkt szczytowy jego działalności pisarskiej.

Baczyński był postacią nieprzeciętną nawet dla epoki pierwszej wojny światowej i ówczesnej walki zbrojnej o niepodległość Polski, która przecież, jak wszystkie wielkie epoki, wydobywała z ludzi tkwiące w nich nader różnorodne możliwości. I na tym tle postać Baczyńskiego odbija swą barwnością i rozmachem.

* *
*

Urodzony 5-go maja 1890 r. we Lwowie, wstąpił po ukończeniu gimnazjum na Uniwersytet, studiując tam filozofię ścisłą i polonistykę. Już w gimnazjum bierze czynny udział w ruchu rewolucyjnym, początkowo anarchistycznym pod kierunkiem Stanisława Łańcuckiego (późniejszego działacza socjalistycznego, a następnie komunistycznego), jednego z przywódców anarchistycznych w dawnej Galicji. Dość prędko jednak następuje w poglądach Baczyńskiego ewolucja w kierunku socjalizmu i w r. 1908 wstępuje do socjalistyczno-niepodległościowej organizacji młodzieży „Promień". W tym również roku rozpoczyna pracę publicystyczną, wydając broszurę pt. „Walka o wolną szkołę, jako kwestia społeczna". Praca publicystyczna zatacza w r. 1909 szersze kręgi i trwa do wybuchu pierw-

szej wojny światowej. Artykuły Baczyńskiego ukazują się w tym czasie w czasopismach: „Życie”, „Prawda”, „Nauka i Życie”, „Rydwan”, „Tydzień”, „Myśl Polska”, „Grafika”. W r. 1910 wychodzi jego młodzieńcza powieść pt. „Wiszary”. W tym czasie pracuje również Baczyński w Towarzystwie „Kultura”, prowadząc akcję odczytową w środowiskach robotniczych.

Ale ta działalność publicystyczno - propagandowa nie zaspokaja jego chęci czynnego udziału w walce o wyzwolenie społeczne i niepodległość. Od początku swych studiów akademickich bierze Baczyński udział w organizowaniu, a następnei pracy jednego z laboratoriów konspiracyjnych, przygotowujących we Lwowie bomby dla rosyjskich socjalistów - rewolucjonistów. Odtąd datuje się kilkoletni bliski kontakt Baczyńskiego z rosyjskim ruchem rewolucyjnym, a głównie z partią „eserów”.

Na krótko przed wojną światową znajduje się Baczyński w szeregach Związku Strzeleckiego. Wybuch pierwszej wojny światowej zastaje go w Warszawie, gdzie prowadzi robotę na tyłach rosyjskich, jako szef żandarmerii strzeleckiej i kierownik laboratorium materiałów wybuchowych. Aresztowany w październiku 1914 r., zdołał uciec.

Dnia 5 sierpnia 1915 r. wstąpił do Legionów Polskich. Przydzielony początkowo do sztabu I Brygady, przeszedł we wrześniu 1915 r. do 1 pułku ułanów Beliny i brał udział w walkach kawaleryjskich nad Stochodem, gdzie został ranny. W końcu listopada tegoż roku został przydzielony do POW. Przebywając przeważnie w Warszawie, zajmował się w tym czasie — oprócz pracy niepodległościowej — również publicystyką, wydając w końcu 1915 r. „Miecz i Koronę”, w r. 1916 — „Historie o szczęściu i cnocie”, a w r. 1917 — „Kresy Wschodnie” (o sprawie ukraińskiej w przyszłym Państwie Polskim). W latach 1917 — 1918 uczył również literatury polskiej w kilku gimnazjach w Warszawie.

Odzyskanie niepodległości powołuje Baczyńskiego do szeregów tworzącego się wojska. W grudniu 1918 r. zostaje przydzielony jako podporucznik do 21 pułku piechoty w Warszawie. Z pułkiem tym brał udział w kampanii 1919 r. na froncie białoruskim, poczym we wrześniu 1919 r., przeniesiony do Sztabu Generalnego, awansuje na porucznika i w grudniu obejmuje kierownictwo Wydziału Plebiscytowego Śląska Cieszyńskiego, Spisza i Orawy. Na tym stanowisku bierze udział w oganizo-

waniu akcji plebiscytowej i w walkach z bojówkami czeskimi. Od lipca 1920 r. walczy na froncie polsko - sowieckim, a po zawieszeniu broni zostaje skierowany do prac na Górnym Śląsku. W grudniu 1920 r. Baczyński zostaje szefem wydziału operacyjnego dowództwa Organizacji Wojskowej na Górnym Śląsku, a następnie zastępcą dowódcy oddziałów dywersyjnych na tyłach niemieckich. W czasie trzeciego powstania górnośląskiego dowodzi oddziałami destrukcyjnymi południowej grupy wojsk powstańczych. Po likwidacji powstania i rozwiązaniu wojsk powstańczych przechodzi — we wrześniu 1921 r. — na własną prośbę do rezerwy, w stopniu kapitana.

Powraca teraz do pracy nauczycielskiej i publicystycznej oraz rozpoczyna działalność na polu krytyki literackiej. W roku 1923 ukazuje się jego „Sztuka walcząca", a w r. 1924 „Syty Paraklet i głodny Prometeusz" oraz podręcznik „Literatura piękna Polski porozbiorowej".

We wrześniu 1925 r. Baczyński wyjeżdża do Paryża, a stamtąd do Grecji, Turcji, Palestyny i Egiptu, po czym znowu powraca do Paryża. Tam rozpoczyna pracę nad duchem współczesnej kultury europejskiej pt. „Propozycje", którą ukończył w 1929 r. Praca ta nie ukazała się drukiem, tylko pewne jej fragmenty były drukowane w 1929 i 1930 roku w miesięczniku „Europa".

Powróciwszy do kraju, Baczyński wydaje w roku 1927 studium o powieści polskiej pt. „Losy romansu" oraz przekłady prac G. K. Chestertona „Obrona niedorzeczności" i Alberta Glieze „Posłannictwo twórcze człowieka w dziedzinie plastyki". W r. 1928 Baczyński, wspólnie z kilkoma literatami, założył tygodnik społeczno - literacki „Wiek XX", którego został redaktorem. Kiedy pismo to wskutek trudności cenzuralnych przestało wychodzić, Baczyński nie dał za wygraną i, zdając sobie sprawę z potrzeby lewicowego czasopisma literacko-społecznego, zaczął wydawać miesięcznik „Europa". Borykając się z wielkimi trudnościami materialnymi, zdołał prawie dwa lata utrzymać przy życiu to pismo, które, podobnie jak i „Wiek XX", stanowi niewątpliwie dodatnią pozycję w bilansie naszych osiągnięć w dziedzinie czasopism społeczno - literackich. W tym czasie ukazała się jego praca pt. „Nasi powieściopisarze", zawierająca charakterystyki wybitnych powieściopisarzy polskich, rozprawa o krytyce literackiej pt . „Prawo sądu" (1930 r. oraz kilka artykułów o literaturze polskiej i rosyjskiej w praskim „Slavische Rundschau".

Po zamknięciu przez cenzurę „Europy”, Baczyński napisał pierwszą w piśmiennictwie polskim próbę charakterystyki literatury sowieckiej pt. „Literatura w ZSRR”, ujęta zarówno z punktu widzenia literackiego, jak i socjologicznego, oraz studium pt. „Powieść kryminalna”, również z uwzględnieniem jej aspektu społecznego.

Pracując od r. 1932 w Wojskowym Biurze Historycznym nad zagadnieniami historii najnowszej, Baczyński wygłaszał ponadto w latach 1933—35 w Instytucie Naukowo - Badawczym Europy Wschodniej w Wilnie wykłady o współczesnej literaturze rosyjskiej. Na tle tych wykładów przygotował obszerne, dotychczas nie wydane studium o tej literaturze. W tym czasie współpracował również Baczyński w miesięczniku „Lewy Tor”, gdzie ukazało się kilka jego artykułów. Na zaproszenie Koła Socjologii Pozytywnej Studentów Uniwersytetu Warszawskiego, TUR’a oraz „Jutrzni” wygłosił cykl odczytów o realizmie w literaturze i literaturze proletariackiej.

Ostatnią pracą Baczyńskiego była „Rzeczywistość i fikcja”, ukończona w grudniu 1938 r. już w czasie jego śmiertelnej choroby (rak żołądka). Praca ta, stanowiąca socjologiczną i literacką analizę najnowszej powieści polskiej, wyrosła z jego poprzednich studiów krytycznych i stanowi ich zakończenie. Była ona jednocześnie ostatnią pracą Baczyńskiego, gdyż pierwsze jej egzemplarze ukazały się na kilka dni przed śmiercią autora. (Wydawnictwo „Nowej Biblioteki Społecznej”).

* * *

Cechą charakterystyczną Baczyńskiego jako człowieka i pisarza była wielka prawość i bezkompromisowość. W tych czasach, kiedy oportunizm, a nawet najobrzydliwszy serwilizm bujnie się rozpleniły i zostały podniesione przez pewne koła niemal do godności zasady, postać Baczyńskiego, chociaż nie był on bynajmniej człowiekiem łatwym we współżyciu, budziła szacunek i sympatię wśród ludzi, z którymi współpracował.

Życie i praca Baczyńskiego poświęcone były służbie wielkim ideałom: wolności i sprawiedliwości społecznej. Ideałom tym pozostał on wierny do końca.

Kronika

Zjazd Pisarzy Chłopskich, zwołany do Warszawy w pierwszych dniach sierpnia, z inicjatywy Związku Samopomocy Chłopskiej przy współudziale Związku Zawodowego Literatów Polskich oraz Ministerstwa Kultury i Sztuki, stał się wybitną manifestacją demokratycznych zasad, dążeń i potrzeb w dziedzinie pracy kulturalnej. W szeregu wygłoszonych referatów oraz w wywołanej nad nimi dyskusji zaznaczyły się dwa wyraźne kierunki. Słabszy z tych kierunków domagał się zupełnego wyodrębnienia pisarzy chłopskich jako grupy klasowej. Większość zjazdu, w pełni uznając potrzebę zapewnienia pisarzom chłopskim własnego głosu w krajowym życiu kulturalnym, stanęła na stanowisku, że potrzeba ta powinna być zaspokojona w ramach ogólnej organizacji literackiej. Powzięto w tym celu uchwałę tej treści: „Zjazd uważa, że sprawa upowszechnienia kultury na wsi i w mieście jest jednym z centralnych zagadnień państwowych. Wobec konieczności otoczenia opieką młodych talentów wyrastających z mas chłopskich i wobec palącej potrzeby zorganizowania czytelnictwa na wsi i odpowiedniej służącej tej sprawie akcji wydawniczej, Zjazd uznaje za celowe powołanie do życia w ramach struktury organizacyjnej Związku Zawodowego Literatów Polskich zespołu pisarzy, których twórczość poświęcona jest zagadnieniu chłopa i wsi". Również w ogólnej deklaracji ideowej, uchwalonej na zjeździe, podkreślono: „Pisarze chłopscy pragną zgodnie z wolą mas robotniczych i chłopskich w braterskim sojuszu z pisarzami w ramach jednej dla wszystkich pisarzy - demokratów organizacji zawodowej — budować wspólny gmach kultury narodowej". Organem pisarzy chłopskich lub z wsią związanych uznano tygodnik literacko - społeczny „Wieś', od kilku miesięcy wychodzący w Łodzi pod redakcją Jana Alamandra Króla, nakładem Związku Samopomocy Chłopskiej. Drugim wybitnym organem chłopskiego ruchu kulturalnego staje się wydawany w Warszawie „Dziennik Ludowy". We wrześniowych numerach „Wsi" podano wyczerpujące omówienie zjazdu oraz pełny tekst głównych referatów wygłoszonych na zjeździe.

* * *

Ogólnopolski zjazd delegatów Związku Zawodowego Literatów Polskich, zwołany do Krakowa w ostatnich dniach sierpnia i w pierwszych dniach września, główną uwagę paświęcił

pracom nad nowym statutem Związku. M. i. wprowadzono artykuł, zezwalający na tworzenie w ramach Związku odrębnych zespołów pisarskich i współpracę organizacyjną z zespołami, których nie wszyscy uczestnicy są członkami Związku. Ma to na celu umożliwienie ścisłej współpracy ze Związkiem grup pisarzy skupiających obok literatów wykwalifikowanych również tych, którzy nie odpowiadają wymaganym przepisom zawodowym. Dzięki temu rozszerzono zakres oddziaływania Związku na całość krajowej kultury literackiej z położeniem nacisku na jej demokratyczne upowszechnienie. W szczególności wspólnie z przedstawicielami zespołu pisarzy chłopskich ustalono sposób zapewnienia temu zespołowi w ramach Związku swobodnej działalności i korzystnego rozwoju. Właściwych członków Związku podzielono na dwie kategorie: członków rzeczywistych i członków - kandydatów. Ci ostatni w okresie trzyletnim stają się członkami rzeczywistymi lub po upływie terminu w razie braku kwalifikacyj zawodowych przestają być członkami Związku. Poza tym w klubach literackich, prowadzonych przez członków Związku, zrzeszać się mają szersze koła miłośników literatury. W zakładanych zaś przez Związek studiach literackich podjęto planową pracę nad kształceniem młodych talentów pisarskich.

Oprócz deklaracji ideowej, która spotkała się z powszechnym uznaniem w licznych głosach prasy poświęconych zjazdowi krakowskiemu, jako wyraz szczerze demokratycznej postawy pisarzy polskich, powzięto szereg uchwał o doniosłym znaczeniu społecznym lub organizacyjnym. Potępiono ekscesy antysemickie, „wzywając wszystkich pracownikńw kultury do solidarnej obrony i utrwalania zdobyczy demokracji polskiej". Potępiono pisarzy kolaboracjonistów: Feliksa Burdeckiego, Jana Emila Skiwskiego i Stanisława Wasylewskiego, „stwierdzając, że wymienieni postawą swoją i działalnością w czasie okupacji wykluczyli się ze społeczności pisarskiej". Powzięto uchwałę, domagającą się: przywrócenia dawnej pisowni z okresu poprzedzającego ostatnio wprowadzone zmiany, uchwalenia przez Krajową Radę Narodową ustawy bibliotecznej; konieczności ożywienia ruchu wydawniczego zwłaszcza w zakresie literatury pięknej; założenia Towarzystwa im. J. I. Kraszewskiego dla badań nad tym pisarzem i przywrócenia mu należytej poczytności w społeczeństwie; roztoczenia opieki nad pisarzami polskimi na obczyźnie, zwłaszcza na Zaolziu; utworzenia Funduszu Literackiego z 5% opłaty od dzieł nie chronionych obowią-

zującym prawem autorskim; oddania upowszechnienia sztuki specjalistom, „z pominięciem niedołężnych i często złą wolę wykazujących pośredników i popularyzatorów, gdyż robotnikowi i chłopu polskiemu i w tej dziedzinie należy się wszystko, co najlepsze"; rewizji tekstów operowych i śpiewackich; poprawności języka polskiego na łamach dzienników i czasopism; popierania polskiej twórczości dramatycznej za pomocą uzależnienia subwencji udzielanych teatrom od ich polityki repertuarowej uczczenia pamięci Janusza Korczaka przez nadanie jego nazwiska jednej z ulic „ghetta" warszawskiego; obniżenia skali podatku dochodowego dla literatów i zwolnienia ich przejściowo od tego podatku na okres trzyletni; przyznania literatom zatrudnionym w pracy urzędowej tzw. dodatku artystycznego w wysokości od 30 do 50 procent pensji; utworzenia specjalnej komisji dla badania materialnego położenia pisarzy; zwiększenia pomocy materialnej dla pisarzy, nie odpowiadającej do tej pory poczynionym przez przedstawicieli Rządu obietnicom i oświadczeniom; zawarcia układu z wydawnictwami czasopism w sprawie ustalenia i podwyższenia normy wierszowego opracowania nowelizacji prawa autorskiego; uporządkowania gospodarki papierem drukarskim i ustalenia przydziałów papieru na potrzeby literatury. W jednej wreszcie z zasadniczych uchwał „Walny Zjezd delegatów Związku Zawodowego Literatów Polskich domaga się pełnej wolności słowa w granicach nie naruszających podstaw ustroju demokratycznego walczącego z faszyzmem".

W skład wybranego na zjeździe Zarządu Głównego Związku Zawodowego Literatów Polskich weszli: Jarosław Iwaszkiewicz — prezes, Mieczysław Jastrun i Adam Polewka — wiceprezesi, Stanisław Ryszard Dobrowolski —sekretarz, Edward Kozikowski — skarbnik, Tadeusz Breza i Stanisław Piętak — członkowie.

Powołana przez Zjazd nadzwyczajna komisja weryfikacyjna dokonała szczegółowego zbadania listy wszystkich członków Związku. Z ogólnej liczby 405 zarejestrowanych przed 1 września b.r. członków przyjęto 260 na członków rzeczywistych, 88 na kandydatów, 24 przekazano do zbadania komisji kwalifikacyjnej, 33 skreślono jako nie odpowiadających warunkom statutowym.

Współczesnemu naszemu czasopiśmiennictwu literackiemu przoduje **Odrodzenie**, wychodzące pierwotnie w Lublinie, od

lutego b.r. w Krakowie. Pismo to rozchodzi się w liczbie 30.000 egzemplarzy, kiedy najbardziej rozpowszechnione przed wojną **Wiadomości Literackie** miały nakład dochodzący ledwo do 10.000 egezmplarzy. Dowodzi to chłonności dzisiejszego środowiska czytelniczego, jak dotąd zupełnie prawie nie zaspakajanego wydawnictwami nowych książek. **Odrodzenie,** redagowane przez znanego z przedwojennych lwowskich **Sygnałów** Karola Kuryluka, przedstawia się poważnie i może aż nazbyt dostojnie. Przy podniesieniu poziomu literackiego obniżyła się żywość, jaką odznaczała się lubelska seria tego tygodnika. Za mało w nim głosów twórczej młodości, jaka powinna dojść do głosu w nowych warunkach naszej rzeczywistości społecznej.

Z innych powodów ten sam zarzut skierować należy do zespołu redakcyjnego łódzkiej **Kuźnicy.** Miało to być pismo o wyraźnej ideologii społecznej. Tymczasem jest ono w znacznej mierze magazynem utworów literackich, które z powodzeniem ukazać by się mogły w każdym innym piśmie literackim.

Takim właśnie z założenia magazynem jest poznański dwutygodnik p.t. **Życie literackie** pod redakcją Jarosława Iwaszkiewicza, obecnie Wojciecha Bąka.

Na szeroką miarę zakrojonym miesięcznikiem literackim jest **Twórczość,** wydawana w Krakowie. Pierwszy numer już się ukazał. Treść bogata i na bardzo dobrym poziomie literackim. Redakcję po ustąpieniu Leona Kruczkowskiego, z chwilą powołania go na wiceministra Kultury i Sztuki, objął Kazimierz Wyka.

Ukazały się już w Katowicach pierwsze numery **Odry,** dwutygodnika społeczno - literackiego poświęconego kulturze Śląska pod redakcją poety Wilhelma Szewczyka. Staraniem grupy młodych poetów wydany w Warszawie **Sygnał** zakończył swe istnienie na jednodniówce. W Krakowie grupa młodych poetów wydała jednodniówkę: **Inaczej.** W Lublinie ukazuje się dwutygodnik **Zdrój,** poświęcony upowszechnieniu kultury. Podjęto już prace nad zorganizowaniem nowych czasopism: w Krakowie: miesięcznika **Nauka i Sztuka** pod redakcją prof. d-ra Juliana Krzyżanowskiego przy współudziale wybitnych przedstawicieli świata naukowego i literackiego; pisma p.t. **Wyraz,** mającego być kontynuacją przedwojenego **Naszego Wyrazu,** pierwszy jego numer będzie w znacznej części poświęcony uczczeniu Ignacego Fika. W Bydgoszczy: miesięczni-

ka **Arkona**, poświęconego zagadnieniom kultury na całym obszarze polskiego Pomorza. W Chełmie: wznowionego miesięcznika poetyckiego **Kamena** pod redakcją Kazimierza Jaworskiego.

* * *

Narodowe Wydanie Dzieł Adama Mickiewicza, w krytycznym i wzorowym opracowaniu, jako kontynuacja i realizacja tzw. wydania sejmowego, zostało podjęte przez Ministerstwo Kultury i Sztuki na mocy uchwały Krajowej Rady Narodowej z 5 maja r.b. Naczelną redakcję wydawnictwa objął prof. Leon Płoszewski, znakomity specjalista naukowo - wydawniczy, zasłużony już m. in. rekonstrukcją autentycznego tekstu paryskich wykładów Mickiewicza o literaturze słowiańskiej. Do współpracy powołano szereg najlepszych sił naukowych. Celem zaś dostatecznego uwzględnienia potrzeb ogólnych i bliższego związania wydawnictwa pomnikowego z całym narodem mają być okresowo zwoływane konferencje sprawozdawcze z przedstawicielami organizacyj kulturalnych i społecznych. Plan wydawnictwa obejmuje w pierwszym rzędzie dokończenie w znacznej mierze już przygotowanego do druku przez redakcję wydania sejmowego tekstu z aparatem filologicznym. To wydanie naukowe zostanie tymczasowo odbite w kilku próbnych egzemplarzach. Do druku pójdzie jednak naprzód wydanie powszechne, oparte ściśle na tekście wydania naukowego, ale z pominięciem aparatu filologicznego. Wydanie powszechne ma się ukazać przed końcem roku 1946.

Z inicjatywy ziemi Łukowskiej, jako miejsca rodzinnego Henryka Sienkiewicza, dla uczczenia przypadającego w roku 1946 stulecia urodzin znakomitego powieściopisarza, podjęto szeroko zamierzoną akcję uczczenia tej rocznicy.

* * *

Od szeregu miesięcy zapowiadane specjalne zaopatrzenie zasłużonych w rozmaitych dziedzinach twórczości kulturalnej pracowników zostaje obecnie realizowane. Pierwsza ustalona już lista obejmuje na razie małą liczbę nazwisk, wśród których łatwo zauważyć przedwczesne wyróżnienie jednostek o zasługach niedostatecznie jeszcze ustalonych, przy jednoczesnym pominięciu osób nie tylko bezspornie wybitnych lecz i nadal wydatnie czynnych. Należy to naprawić w następnej liście wyróżnień, znajdującej się już podobno w opracowaniu powołanej do tego celu Komisji przy Prezydium Rady Ministrów.

W liście pierwszej słusznie również uwzględniono niektóre wdowy po zasłużoych twórcach. W związku z tym nasuwa się jedna uwaga, aby przy układaniu drugiej listy pamiętano o dziesięcioletniej Marcie Fikównie, sierocie po zamordowanych przez Niemców Ignacym Fiku i Helenie Moskwiance-Fikowej, ze względu nie tylko na literacką działalność obojga, lecz również na ich zasługi społeczno-polityczne, zwłaszcza ojca, niezłomnego bojownika o demokrację i bardzo wybitnego działacza w ruchu podziemnym.

* * *

Dla nawiązania i zacieśnienia stosunków kulturalnych z zagranicą zorganizowano już szereg kół Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej. Najżywotniej działają koła krakowskie, sandomierskie i toruńskie. Ostatnio powołano do życia Towarzystwo Przyjaźni Polsko-Francuskiej. W przygotowaniu podobne organizacje przyjaźni z innymi narodami. Z inicjatywy pisarza i członka Krajowej Rady Narodowej Jerzego Kornackiego podjęto myśl stworzenia społecznego organu koordynującego prace takich towarzystw i mającego na celu wyrobienie metod działania dostosowanych do zadań i potrzeb demokratycznego świata pracy.

* * *

Planowa organizacja życia teatralnego w Polsce jest jednym z zagadnień dotąd nie rozwiązanych, na które z rozmaitych stron zwraca się teraz coraz baczniejszą uwagę. Sprawa istotnie paląca. Najpilniejszym zadaniem jest stworzenie własnego typu teatru powszechnego o wysokim poziomie artystycznym, przeznaczonego dla najszerzej pojętej widowni. Drugim nie mniej ważnym zagadnieniem jest unowocześnienie i uspołecznienie repertuaru. Dotychczas teatry nasze wystawiały głównie Fredrę i Zapolską. Najwybitniejszym sukcesem artystycznym było wystawienie **Fantazego** Słowackiego w Teatrze Wojska Polskiego w Łodzi. Urapremier polskich zanotowano ledwo pięć: **Mąż doskonały** Jerzego Zawieyskiego w Starym Teatrze w Krakowie, **Penelopa** Lud. Hieronima Morstina w Teatrze Miejskim w Krakowie, **Powrót do źródeł** Tadeusza Perkitnego w Lublinie, **Lompa** Kazimierza Gołby w Katowicach, **Przejrzały oczy nasze** Wandy Karczewskiej w Poznaniu. Zamierzone wystawienie paru sztuk, podobno dobrych, o mocniejszej aktualności społecznej, uległo z niewiadomych przy-

czyn zakulisowych odroczeniu. Przed nowym dyrektorem Departamentu Teatrów w Ministerstwie Kultury i Sztuki Bolesławem Wieczorkiewiczem otwiera się nader wdzięczne pole działania. Poprzednik jego Arnold Szyfman objął stanowisko dyrektora Teatru Polskiego w Warszawie, który będzie pierwszym reprezentacyjnym naszym teatrem państwowym. Natomiast nic nie słychać o nie mniej ważnym zadaniu organizowania w podobnej skali opery polskiej. (quidam).

* * *

„Lewy Tor" został entuzjastycznie powitany na tak zwanych łamach. W szczególności pewien niewyrobiony (czyżby tylko?) Czytelnik Robotnika nie może się „zgodzić" na istnienie takiego pisma. Nie spodobało mu się też wystąpienie J. N. Millera w sprawie udziału sztuki w całokształcie kultury i z prostotą cytuje zdania, których nie zrozumiał. Trudno, my szanownego Czytelnika uczyć nie będziemy, miał czas sam to zrobić. I nie trzeba tak otwarcie wyznawać obawy, że w Polsce jest pism poświęconych kulturze... za dużo. Najpierw to nie demokratycznie, a po drugie... et, co tu gadać!

* * *

Z Warszawą władze postępują w myśl polskiej tradycji: jak z zasłużonym i odznaczonym trupem. Wszystkiego tu mniej i w gorszym gatunku, niż w innych miastach polskich, bo i czego się jeszcze takiemu trupkowi zachciewa? Nie tykamy tu szerszego zakresu życia kulturalnego, ale ot choćby na skromnym odcinku kinematografii. Świetne filmy, jeśli nie nowe — bo rozumiemy, że tych brak — idą w Łodzi, Krakowie, Lublinie. W Warszawie — co stolicy po filmach, a w domach siedzieć po nocy nie łaska? W Polonii przez szereg miesięcy szedł „Nr 217", a teraz i na Chmielnej i w Polonii idzie to samo. Czemu tak — pytamy lirycznie — czemu? (ego).

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI:

MARSZAŁKOWSKA 6

(parter, poprzeczna oficyna)

Redakcja przyjmuje we wtorki od 16—18

Wydawca: **Zespół „Lewy Tor"**

Redaguje: **Zespół literacki „Lewy Tor"**

Nr 1083 — Graficzna Spółdz. Pracy „Grochów", Grochowska 194. BO-2260

72